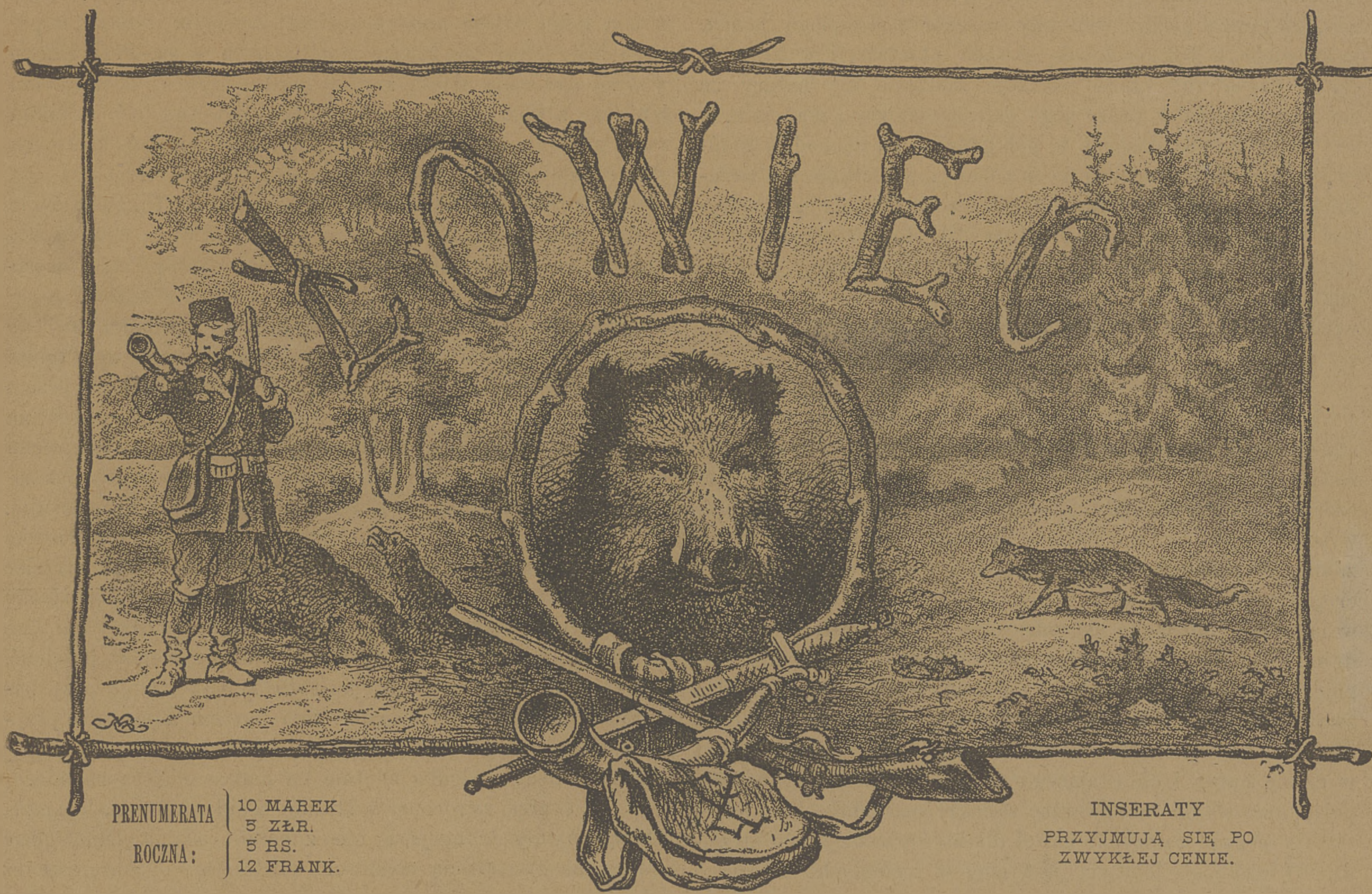
Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1881. Rok IV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SPRAWY GALIC. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieckiego.

Bajewski Ignacy.
Chełkowski Franciszek.
Chełkowski z Kuklina.
Drohojowski Zygmunt hr.
Harasymowicz Józef.
Hulewicz Adam.
Hulewicz Walery.
Jaraczewski Lucyan.
Jasiński Bolesław.
Marmoross Kazimierz.
Skoraczewski z Turska.
Wodzicka Ludwika hr.
Żelechowski Wincenty.

SŁONKA

PRZEZ

Barona C. E. Thüngena.

(Ciąg dalszy).

Łowy na słonki odbywają się: 1) na ciągu; 2) na buszowanego; 3) z nagónką; 4) na zasiadce w miejscach błotnistych; 5) na sidła.

Na ciągu poluje się z dobrym skutkiem tylko na wiosnę, gdy słonka przy zachodzie słońca lub z brzaskiem dnia z lasu ku polom, błotom i źródłom przeciąga. Wieczorne ciągi lepsze są od porannych, a szczególnie ciepłe wieczory zwłaszcza, gdy poprzednio padł ciepły deszczyk, są najodpowiedniejsze, gdy przeciwnie podczas chłodnych, polowanie się zwykle nie udaje. Dla myśliwego, który zarazem jest

wielbicielem i badaczem przyrody, a takim powinien być każdy, dostarcza piękny wiosenny wieczór podwójnego uroku, mianowicie w różnorodnych głosach ptactwa, i w balsamicznem powietrzu, które wskazuje budzenie się natury ze snu, i wywołuje w duszy jego najrozkoszniejsze marzenia.

Ciąg rozpoczyna się w pół godziny po zachodzie słońca, w jasnych wieczorach nieco później, przeciwnie zaś wcześniej, gdy niebo chmurami pokryte, a szczególnie gdy przytem rosi deszczyk, i trwa wtedy 25 do 30 minut, przy pogodzie zaś tak długo, jak długo drozda ożywiony głos się odzywa. Prawda, iż często ciągną słonki nawet w nocy, ale wtedy nie ma już dostatecznego do strzału światła, i myśliwy musi z tego powodu zejść ze stanowiska.

Zwykle ciągną słonki pojedyńczo, zdarzają się jednak parki, a czasem nawet kilka samców, które się na siebie srożą i dziobami nawzajem atakują. Sposób przeciągania zawisł głównie od powietrza. Najżywiej ciągną ciepłymi wieczorami zwłaszcza, gdy deszczyk rosi, mniej albo więcej wysoko, często bardzo wolno, gwarząc głośno, co słychać zdala. W zimnych, nieprzyjemnych i wietrznych wieczorach ciągną wysoko, powyżej zagajenia, szybko i najczęściej w milczeniu lub cicho się odzywając. Przy ostrym zachodnim lub północnym wietrze zwykle żadna słonka nie ciągnie. Podczas lekkiej zawiei śnieżnej ciągną często bardzo żwawo tu i tam, a gdy silny, ciepły deszcz pada, bywa czasem ciąg wyborny, ale trwa tylko kilka minut, nawet w czasie burzy i chłostającego deszczu przeciągają czasem pojedyńcze słonki, nie gwarząc wszakże swobodnie, lecz lotem strzały pędząc za szybko nawet dla najwprawniejszego strzelca. W ogólności lepszym jest ciąg w rozległych, zwartych lasach, jak w małych gajach.

Równie też z brzaskiem dnia ciągną i odzywają się słonki. Myśliwy wtedy musi być przed świtem na stanowisku. Poranne łowy jednak rzadko się udają. Słyszy się słonkę zwykle, gdy zaledwo ciemność nocy opada i jeszcze jest tak ciemno, iż niepodobna ją dostrzedz, napróżno wytęża myśliwy wzrok w celu wypatrzenia przeciągającej i gwarzącej głośno słonki, a gdy jasność się ukaże, już niestety ciąg przeminął.

Kto nie jest przyjacielem próżnych wycieczek, niech kilka dni przeczeka, i wychodzi na łowy w średniej porze ciągu. Z początkiem mało słonek się pojawia, albo wcale nie ciągną albo bardzo krótko, zresztą bywa w owej porze powietrze zwykle jeszcze za chłodne.

Przed wyjściem na ciąg należy przedewszystkiem dokładnie rozpoznać miejsca w lesie, gdzie słonki na wiosnę gęsto ciągną i zapadają. Są to młode zapusty i drzewostan łaciasty, przez które słonki ciągnące chętnie przelatują, także łąki leśne, drogi krzyżowe szerokie w lesie, a nawet często okrajki lasów dają dobre stanowiska, szczególnie też takie miejsca, gdzie są przechody i luki, niemi bowiem lubi słonka przeciągać. Podczas chłodnych, jasnych wieczorów ciągną chętniej wzdłuż wysoczyzn, i tam je łatwiej strzelać można, jak w wciętych dolinach, przez które wtedy w znacznej wysokości przelatują. Przy wilgotnem, dżdżystem i pochmurnem powietrzu ciągną przeciwnie chętniej w jarach, skrajach dolin i nizinach. Tak jak grubsza zwierzyna ma swoje przesmyki, tak też słonka chętnie w jednym kierunku przeciąga. Jeżeli przeto jakie stanowisko znane jest jako dobre, to trzeba się go trzymać i wcale się tem nie zrażać, jeżeli przez jeden i dwa wieczory źle się na nim powiodło. Najgorzej niezawodnie każdego wieczora zmieniać stanowisko. Przy wyborze jego należy zachować następujące względy. Stać trzeba tylko w lesie niezbyt gęstym i wysokim, zawsze w pobliżu łąk, kałuż lub rowów napełnionych wodą. Przy silnym wietrze nadlatują słonki zwykle bardzo szybko, w milczeniu i nisko, z tego powodu stanowisko powinno być w takim razie zupełnie otwarte, aby można słonki widzieć, kiedy ich słyszeć niepodobna. W rozległym gąszczu stać trzeba w jego środku zwłaszcza, jeżeli jest przeciągłym. Także stać nie można u brzegu lasu, jeżeli za nim są otwarte miejsca lub niskie, ponieważ słonki wtedy nadleciawszy na kraj lasu natychmiast zniżają lot swój i dostrzedz ich nie można. Jeżeli zwykle odwidzane stanowisko znajduje się w środku pewnego obszaru leśnego, a wstęp do niego mocno zarosły, to w takim razie powrót śród ciemności jest bardzo trudny, należy przeto w takim razie wyciąć małą ścieżynkę. Dogodnie też na zwykłem stanowisku siedzenie urządzić, przybywa się bowiem często z zbolałemi od trudu nogami, więc spoczynek potrzebny zwłaszcza, jeżeli się przybywa czasem godzinę wcześniej. Podczas ciągu siedzi chyba fryc myśliwy, niepodobna bowiem siedząc zmierzyć się do szybko przemykającej słonki. Strzelec powinien na swem stanowisku mieć widok na wszystkie strony w oddaleniu strzału otwarty, nie zasłonięty drzewami lub krzakami, można więc w tym celu ostatnie u góry pościnać. Niewprawni myśliwi niech, jeśli to możliwe, stają przy kałużach lub jeziorkach leśnych, tam bowiem mogą mieć przyjemność strzelać do siedzących słonek zwłaszcza przy suchej wiośnie, kiedyto słonka chętnie na mokre miejsca zapada.

Z twarzą zwróconą w stronę, zkąd słonki nadciągają, stanąć należy w miejscu nie zupełnie odsłoniętem, gdzie zwierzyna z łatwością myśliwego dostrzedz nie może, ale też nie zbyt blisko drzew i krzaków, które przeszkadzają w strzale, gdy słonka milcząc szybko przeciąga. Lubo ciągnąca słonka zwykle na myśliwego nawet wcale odsłoniętego nie zwraca uwagi, to jednak zdarza się, że nadciągająca w prostym kierunku spostrzegłszy go zwraca się w prawo lub lewo. Więc nie można wybierać stanowiska zupełnie odkrytego. Z tego też powodu nie należy brać z sobą wyżła białego lub biało centkowanego, równie też ubranie nie powinno być jasne, lub przybory błyszczące. Niektóre słonki bywają tak ostrożne, że nagłe złożenie się zbija je z obranego kierunku, zaleca się przeto wolne składanie. Jeśli słonka z przodu nadlatuje, trzeba ją trzymać na szerokość dłoni przed dziobem, gdy z boku, w sam dziób mierzyć, z tyłu zaś w środek ciała. Kiedy nadciągnie więcej słonek nawzajem się atakujących, to strzelać należy z oddalenia 30 do 35 kroków wprost w nie, i często tym sposobem zabija się obie, lepiej jednak zawsze nie spuszczać się na szczęście, lecz mierzyć do przedniej, jakoby ona tylko była sama. Gdy już dosyć ciemno, lepiej naprzód strzelać do ostatniej, która zwykle bywa samcem, a ten w razie jeśliby się poprzedzającą go samicę zabiło, sądząc, iż ona zapada w celu żerowania, zwykł za nią zniżać swój lot, a nim znowu powyżej krzaków się pojawi, już najczęściej strzałem dosięgniętym być nie może. Lecz gdy się strzela do ostatniej, to przednia słonka albo wcale strzału nie widzi i przeciąga swobodnie lub też spostrzegłszy strzał nieco zbacza, co jednak wprawnemu myśliwemu nie przeszkodzi posłać jej trafny strzał. Strzał boczny i z tyłu bywa najpewniejszy, dla tego niewprawnym strzelcom zaleca się przepuszczać ciągnącą słonkę i strzelać ją z tyłu. Strzał do słonki na ciągu może być uważany za najłatwiejszy oraz też za najtrudniejszy. Słonka wolno ciągnąca przy sprzyjającem powietrzu, głośno gwa-

rząca po nad lasem, daje z powodu powolnego i regularnego lotu strzał nadzwyczaj łatwy tak, iż nawet najmniej wprawny strzelec może ją zabić; przeciwnie niezmiernie trudno trafić słonkę, gdy ona milcząc, niespodziewanie i nisko ponad krzakami przelatuje, a taką na stu strzelców zaledwo dwudziestu zabiją, zwykle bowiem do niej wcale nie strzelają lub też pudłują.

Co do mierzenia do słonki należy wspomnieć, iż prowadzenie jej lub trzymanie naprzód wtedy tylko jest możliwe, gdy ona wolno ciągnie i myśliwy ją wcześnie spostrzeże. W każdym innym razie i w ogóle najlepiej szybko się zmierzyć, wziąć ją dobrze na cel, następnie nieco naprzód lufą posunąć i strzelić. W wieczory chłodne, dżdżyste lub wietrzne nie warto na stanowiskach wyczekiwać, bo wtedy słonki albo wcale nie ciągną lub za wysoko dla celnego strzału. Również stawać nie należy wieczorem w leśnym dziale, który tegoż samego dnia przez buszowanie lub nagónkę był niepokojony, bo tam wtedy słonki albo wcale wieczorem nie ciągną, lub w bardzo małej liczbie, milcząc, — bardzo spiesznie, nisko ponad krzakami, i prędko zapadają. Więc udać się trzeba w miejsce buszowaniem lnb nagonką zaniepokojone nazajutrz rano, w poprzednim bowiem dniu buszowaniem lub przez nagonkę pomęczone i popłoszone słonki ciągną na drugi dzień rano liczniej, a przy pomyślnym stanie powietrza niżej, wolniej i więcej gwarząc jak zwykle.

Nie powinno się nigdy wychodzić na słonki bez dobrze aportującego i wybornie wietrzącego wyżła, ale winien on być, o ile to możliwe, zawsze ciemnej barwy. Zastrzeloną słonkę, wielce podobną do suchych gałęzi, trudno na ziemi znaleść zwłaszcza, że zapadający zmrok jeszcze ową trudność powiększa. Pies niech u boku myśliwego nie leży ani spi, lecz stoi albo siedzi z wytężoną uwagą, ostro wietrząc. Zdala już słysząc choćby cichy głos słonki, i wzrokiem śledząc za przeciągającą, powinien skoro ujrzy ją po strzale ku ziemi się chylącą, nie czekając rozkazu pana pędzić ku niej, a w razie, jeżeli nie leży już martwa, ale tylko postrzelona ucieka i usiłuje szybkiem zapchaniem się w gąszczu ocalić, prześladować ją wytrwale. Kto nie ma dobrze aportującego psa, niech sobie miejsce, w które postrzelona słonka zapadła, dobrze w pamięci zanotuje, i nazajutrz raniutko starannie przeszuka.

Prócz dobrze aportującego psa, pożądane są jeszcze do tego rodzaju polowania następne przybory. Przedewszystkiem nieprzemakające buty, nigdy bowiem noga nie pozostaje suchą. Co do broni, to oczywiście odtylcówka niezawodnie jest dogodniejszą. Niektórzy myśliwi polecają dla polowania na słonki śrót Nr. 4 lub Nr. 4 z 5tym zmięszany, nam się zdaje, iż ów numer o jedną liczbę za gruby. Słonka jak wiadomo nie ma twardego życia, jedno ziarnko Nr. 5 lub 6 zabija ją. Nie zależy więc na tem, aby strzał głęboko ją ranił, lecz raczej aby ją gęsto obsypał, a do tego celu najodpowiedniejszym jest śrót Nr. 5 albo 6, których też myśliwi zwykle na słonki używają. Przy wieczornym ciągu lepszym jest śrót Nr. 5, bo szybciej i pewniej bije, a w zmroku jest rzeczą pożądaną, aby ptak spadł nieżywy, i nie chronił się postrzelony w krzaki, z których potem rychło się wynosi. Zresztą jak zawsze potrzebną jest torba z trokami. Używają też obecnie myśliwi na ciągu wabików, ściągających na strzał słonki. W końcu dodać należy, że i w jesieni wychodzi się na ciąg słonek, z małym jednakże zwykle powodzeniem. Dzieje się to więc tylko w takich rewirach, w których co roku w porze jesiennej wiele słonek zapada. Ciągną one w jesieni milcząc i szybko, najczęściej znacznie wysoko i zapadają ze zmrokiem chętnie na pola, mokre łąki i bagniste działy lasu. W ogólności pomyślna wyprawa na słonki zawisła od szczęścia.

B u s z o w a n i e. — Ten rodzaj polowania o wiele jest wydatniejszy i trud bardziej wynadgradzający, jak poprzedni zwłaszcza, jeżeli się odbywa z pomocą dobrze ułożonego, posłusznego wyżła. Tu powodzenie mniej zależy od szczęścia, lecz głównie od zręczności i pracowitości myśliwego. Nim do opisu tego rodzaju polowania przystąpimy, musimy naprzód wspomnieć o potrzebnych do niego rekwizytach. Co do strzelby, odpowiedniejszą jest krótka bezwarunkowo, ponieważ tu konieczne jest szybkie jej użycie, a długa strzelba łatwiej zawadzi o gałęź w chwili, kiedy jak najrychlej złożyć się potrzeba. Również ciężkiej strzelby używać nie można, bo przy nieustannej gotowości do strzału zbyteczny ciężar rychło rękę znuży. W strzelbie niech punkt ciężkości leży tylko dwa lub 3 cale przed kamerśrubą. O ile szybszem i składniejszem jest użycie broni, gdy punkt ciężkości nie jest zbyt naprzód wysunięty, wiedzą najlepiej ci, którzy z białą bronią mają do czynienia. Do buszowania polecamy dubeltówki perkusyjne, ponieważ odtylcówki na krótką odległość, na jaką się zwykle strzela, nadto strzał skupiają, więc się łatwiej zwierzynę chybia albo nadto ją rozbijają, a zresztą korzyść szybszego nabijania przy rzadszem strzelaniu nie ma tu znaczenia. Co do śrótu wspomnieliśmy już, iż najdogodniejszym jest Nr. 6, a w każdym razie nie grubszy, jak Nr. 5. Szczególną baczność zwrócić należy przy tego rodzaju polowaniu na ubranie myśliwego. Dolna i górna odzież musi być mocną, bo się buszuje zawsze prawie w gąszczu najeżonym różnorodnymi kolcami, a przytem musi też być lekką, bo nie tylko nieraz dobrze za zwierzyną uganiać trzeba, ale też przeskakiwać przeszkody lub pod nie się nachylać. Niech zresztą będzie wygodną i nie hamuje swobodnych poruszeń Dolne ubranie najbardziej polecenia godne jest jelonkowe. Co do obuwia zawisło ono od stanu powietrza. Czapka niech dobrze ochrania oczy, mocna zaś rękawiczka rękę, która wszelkie przeszkody, nawet ciernisté musi szybko usuwać. W końcu niezbędnym jest, jak już wyżej nadmieniliśmy, dobrze ułożony legawiec. Nie każdej rasy wyżeł da się do buszowania użyć, jak np. angielski, ponieważ daleko i zbyt zapalczywie szuka, przeciwnie zaś z bardzo dobrym skutkiem pies rasy niemieckiej. Pies musi być pracowitym i wytrwałym, szukać krótko i nie unosić się. Są to warunki konieczne przy buszowaniu, ponieważ ono się odbywa zawsze w lesie lub krzakach, i zależy na tem, aby myśliwy psa, ten zaś myśliwego nieustannie miał na oku. W tym celu powinien pies być bardzo posłusznym, i w każdej chwili dać się odwołać, szczególnie zaś wtedy, gdy wystawiona przez wyżła słonka się poderwie, i zaraz potem zapadnie. W takim razie nawet dobrze ułożone psy, gdy nie są w porę odwołane, pędzą chętnie za ptakiem, który tem prześladowaniem jest zniewolony do dalszej ucieczki. Aby przyzwyczaić wyżła do krótkiego w lesie i krzakach szukania, trzeba gdy on zbyt gwałtownie w prawą lub lewą stronę się zapędza, zwrócić się w stronę przeciwną, wtedy pies zwykł, straciwszy myśliwego z oczów, szukać go szybko i trwożliwie, a gdy się go w każdym takim razie pogłaszcze i pochwali, to przyucza się on niespuszczać z oka myśliwego. Gdy zaś wyżeł jest zbyt namiętny i daleko się zapędza, to oczywiście musi być tak długo karany, dokąd się tego nie oduczy. Dobry wyżeł nie powinien gonić za zającem, aby tej zwierzyny

*

nie niepokoił, i podczas gonu słonek nie płoszył. Musi być bardzo posłusznym, i dać się odwołać od każdej zwierzyny i od słonki, która mu z przed nosa furnęła. W końcu wiatr jego powinien być bardzo ostry, słonka bowiem słabo się znaczy, wystawianą więc bywa przez psy albo bardzo krótko, niepewnie, lub nawet wcale nie. Od myśliwego, który się buszowaniem skutecznie ma zajmować, wymagamy, aby posiadał po temu niezbędne warunki, mianowicie wytrwałość w znoszeniu trudów, silne zdrowie, gorące zamiłowanie do myśliwstwa, przytomność umysłu i wprawę w składaniu się do strzału. Poszukiwanie słonek należy niewątpliwie do rzędu najmozolniejszych łowów, komu ciernie i szpilki u drzew humor psują, ten niech się raczej nie wybiera na takie polowanie. Jest to zajęcie dla prawdziwego myśliwego, tu dopiero można się dowiedzieć, czy w łowcu tkwi istotna passya myśliwska, znosić bowiem trzeba wiele wysilających trudów, zanim usiłowania pomyślnym uwieńczone zostaną skutkiem.

Śledzi się słonki na wiosnę i w jesieni. Najodpowiedniejszą porą jest od 9 godziny rannej do 4 popołudniowej, ale i raniej jakoteż późnym wieczorem znachodziliśmy słonki, które wybornie dosiadywały. W pierwszych ośmiu dniach pojawienia się słonek, buszowanie nie bywa pomyślne, w części z tej przyczyny, iż nie bardzo zachęcającem jest szukanie, gdy ich jeszcze zbyt mało, w części zaś, ponieważ znalezione nie dotrzymują. Do tego rodzaju łowów najdogodniejsze są pogodne, ciche, jasnym promieniem słońca oświecone dnie nie tylko z tego powodu, iż wtedy słonki lepiej dosiadują i wolniej ciągną, ale głównie dla tego, ponieważ przy spokojnem powietrzu łatwiej się słyszy ich zrywanie i zapadanie, a rzecz to dla myśliwego bardzo ważna.

Gdy pora buszowania jest zimną i suchą, to słonki przesiadują w niskich, podmokłych okolicach. Kiedy przez dłuższy czas deszcz padał, a w nizinach wiele wody się nagromadziło, to siedzą na miejscach suchych, ku południowi zwróconych pochyłościach i zrębach, obie bowiem ostateczności, teren zbyt mokry lub nadto suchy, jest im nie miły. W dniach, w których las jest zwilżony, szczególnie po gwałtownych deszczach, wynoszą się słonki z grubego lasu, i pojawiają się na drogach leśnych, na jasnych zrębach, nawet na otwartych miejscach, w takiej porze pewniej i wygodniej się je tam znajdzie, jak przedzierając się przez obmokłe gąszcze. Gdy w porze ciągu ściśnie mróz, to szukać słonek trzeba na pewne w miejscach mokrych, przy strumykach leśnych i źródłach, jednem słowem wszędzie, gdzie ziemia jeszcze nie jest zupełnie dla nich niedostępną to jest gdzie jeszcze wygodnie mogą robactwo wydobywać. Podczas parzenia się siedzą słonki chętnie w gęstych krzewach cierniowych, osikowych lub wiklinach wierzbowych, które się ciągną u brzegów łąk i roli zasianej, na przestrzeni leśnej zarosłej paprocią. Kto chce w pierwszej chwili pojawienia się słonek na wiosnę szukać ich z wyżłem, niechaj buszuje w młodym lesie szpilkowym na słonecznych pochyłościach gór, gdzie wszakże tylko pojedyńczo się znajdują. Po deszczu rzęsistym i ociepleniu się powietrza po nim, nie powinno się zaniedbywać buszowania na młodych, nie gęstych zagajnikach, na ogołoconych zrębach, i nie bardzo zarosłych nasiennikach, gdzie bogatą znaleść można zdobycz. Jednakowoż spotkanie z większą liczbą słonek najczęściej bardziej zawdzięcza się przypadkowi, jak rozważnie ułożonemu planowi polowania. W lesie liściastym i szpilkowym, jeżeli tylko jest dosyć gęstym, znaleść można słonki na drogach, przerzynających gąszcze, przenoszą wszakże wąskie drożyny, spotkać je więc można na ścieżkach wydeptanych przez bydło i ludzi, często więc także na ścieżkach sidełkowych.

Ponieważ wiosna więcej ograniczony wybór żeru słonkom dostarcza, który wtedy znajdują prawie wyłącznie w cieplejszej, wilgotnej ziemi lasu liściastego, więc chętniej też na wiosnę w nim przebywają i omijają lasy szpilkowe z ich zimnym często nawet zamarzniętym gruntem, gdzie jeszcze nie roi się życie owadów, zwłaszcza w początku tej pory. Przeciwnie w jesieni znajdują słonki pożywienie śród rozmaitego rodzaju drzew, ztąd wynika, że w tej porze roku rozsypują się na całych przestrzeniach leśnych, a szczególnie w lasach szpilkowych.

(Dokończ. nastąpi).

SZCZEGÓLNE WYPADKI Z ROGACZAMI

PRZEZ

Kazimierza hr. Wodzickiego.

W lasku czterystu-morgowym dochowałem się kilkunastu zlokalizowanych sarn w stanie istot dosyć ucywilizowanych, bo się ludzi nie boją, chodzą między rębaczami po zrębie, i przyjmują podawaną im suchą karmę w zimie. W dniu 12 Października z. r. szukał leśniczy z leśnymi i pięciu chłopcami słonek po staropniowej dębinie nieco podszytej, chłopiec od chłopca szedł na 50 kroków. Wśród miotu spotykają pięć sarn, cztery kozy pierzchły, rogacz zaś trzechletni skoczył kilkanaście kroków i stanął. Chłopiec począł krzyczeć i kijem wywijać zwracając uwagę pobereżnika. Rogacz pędem uderzył na stojącego naganiacza i przewrócił go na ziemię, poczem cofnął się i uderzył chłopczynę tak mocno rogami, iż tenże machnął kozła. Nie dosyć mu było na tem, po takim ataku cofnął się raczkiem, i oddaliwszy na kilkanaście kroków, gdy naganiacz począł się dźwigać, znowu w kilku skokach zbliżył się do niego uderzając rogami w twarz. Na szczęście chłopczyna odwrócił głowę, i wyszedł z tej walki tylko ze szramą dosyć głęboką w twarzy, dziś jeszcze widoczną, a rana ta była tak bolesną, że z płaczem i lamentem zawlókł się do domu. Przy tym ciekawym epizodzie okazała się w jaskrawem świetle owa ciężka indolencya ruskiego chłopa, pobereżnik bowiem stał o 50 kroków od naganiacza, i zamiast pospieszyć z pomocą i odpędzić napastliwego rogacza, stał na miejscu, wrzeszczał, klął i podziwiał odwagę zwierza.

Bardzo wiele sarn i rogaczów w życiu mojem wychowałem, najczęściej odbierając młode kłusownikom i pastuszkom. Podchowane rogacze i kilkoletnie bywały rzeczywistym postrachem dla ludzi, a w szczególności dla kobiet i dziewek, z natarczywością i odwagą szarżowały na ludzi,

przewracały i bodły jak byki, nigdy wszakże nie widziałem takich napaści u rogaczów w dzikim stanie. Z wspomnień moich o chowanych rogaczach przywiodę tu kilka wypadków.

Mieszkając w Kongresówce wychowałem rogacza, przezwanego Antosiem, znanego przez domowników i okoliczne gminy, do których chodził w swych swawolnych wycieczkach w ciągu trzech lat swego krótkiego życia, zawsze jednak na noc powracał. Moja gospodyni, jako pomorzańska niemka, rozkoszowała w pierzynach, a w łóżku piętrzyły się poduszki, gdyby pieniące fale. Pomimo tej słabości, właściwej zresztą wielu kobietom, miała serce czułe, i od maleńkości kochała Antosia resztkami swego uczucia. Rogacz spał pod betami, wyciągał się jak pies, a często kładł główkę na poduszkach, a układał się zawsze od ściany. Gdy się spóźnił do swojej sypialni, bębnił racicami do drzwi tak mocno, że zawsze wiedziałem, kiedy się do snu zabiera, później rogami w drzwi uderzał. W pierwszym roku był łagodnym, rozkosznym i bawiącym nas wszystkich, chodził na spacer i trzymał się człowieka, z psami swawolił i wszędzie go było pełno, więc też u klucznicy pierwsze miejsce zajął, i w łóżku wcale jej nie zawadzał. Przez dziedziniec płynął dosyć bystry potok Romnik, do tej wody zawsze chodził i innej nigdy nie pijał, ale się w niej nie kąpał nawet najsrożej trapiony przez owady i w najskwarniejszych dniach. W drugim roku począł wyprawiać awantury, nie znosił zwłaszcza widoku dziewek. Przypominam sobie pewien wieczór nieszczęśliwy dla mnie. Byłem wtedy jeszcze na dorobku gospodarskim, i sam ludziom wypłacałem nie mogąc trzymać pomocnika. Był to dzień gorącego żniwa pszenicznego. Zsiadłszy z konia, chodziłem po podwórzu, a rogacz krok w krok za mną. Po zachodzie słońca poczęły się schodzić żniwiarki w barwistych strojach, z grabiami w rękach, i stanęły rzędem przed domkiem moim. Antoś stanął przed szeregiem dziewuch, wpatrywał się w nie, tupał nóżkami, i począł do koła je obchodzić. — Zniżył się na nogach, najeżył i chyłkiem z tyłu podchodził do dziewek. Nie przypuszczając niebezpieczeństwa, nie odpędzałem go, i liczyłem dalej drobne pieniądze na ławeczce przed domem. W jednej chwili Antoś odsadza się, przyczaja i uderza rogami w środku stojącą dziewkę niżej krzyżów w samo mięso. Rozległ się krzyk, pisk i lament, rozbiegły się dziewuchy na wszystkie strony, a tylko biedna Magda srodze pokaleczona szlochając wołała o pomoc. Czytelnik zrozumie, iż sam nie mogłem sprawdzić głębokość rany w miejscu nieprzyzwoitem, więc zalterowany pobiegłem po gospodynię, poczem ofiarę zaciekłości rogacza zanieśliśmy do piekarni, oddając ją opiece kobiet. Biedna Magda dziesięć dni cierpiała, a co najgorsze, że znacznie dłużej usiąść nie mogła. Rogi szpiczaka dziwnie ostre i szpiczaste są w istocie niebezpieczną bronią. Antoś rad ze swego heroicznego czynu skakał, lansadował i biegał po podwórzu uciekając przed moim harapem.

Tak on jak i inne chowane rogacze nie biły starych kobiet jakoteż nie wszystkie młode, miały swe sympatye i antypatye, a szczególnie miały odrazę do płci żeńskiej podczas pewnej peryodycznej przypadłości. Antosia buta i częste napady, chodził on bowiem i na gumno, a wtedy wszystkie robotnice uciekały i kryły się, zniewoliły mnie do postanowienia zastrzelenia tego zresztą ulubionego napastnika, lecz chór próśb, a szczególnie płacz klucznicy uratowały mu życie. Żył więc swobodnie, niekiedy chodził ze mną na spacer, psów się wcale nie bał i atakował je rogami, a gdy zrzucił swoją ozdobę i zimno mroźne było dokuczliwe, wtedy już stale przebywał podczas zimowych miesięcy w pokoju klucznicy, w piekarni lub kuchni. Do stajni też chodził, konie okradał, i ze stajennymi był w dobrej komitywie tupając racicami, póki mu na przetaku owsa nie podano. Do mego mieszkania również przychodził, doskonale pamiętał godziny śniadania i obiadu, uderzał wtedy w drzwi, i dostawszy się do pokoju, chodził ostrożnie po woskowanej posadzce, jak po lodzie, nigdy nie podskakując. Rano dostawał bułkę z mlekiem, przy obiedzie solonego chleba Z łakomstwem jadł jarzyny, szczególnie marchew i pietruszkę, i z wielką niecierpliwością czekał na pokrajanie jej. Lubił owies, ale gorzką wykę najchciwiej pożerał, i on to mnie nauczył karmić sarny w lesie po szopkach wyką w snopkach, a podczas gdy nie udawało mi się zwabić je pod daszki sianem, otawą, owsem i hreczką, to wyką zawsze zwabiałem je do szopek korą osłonionych, a gdy na zrębach i w gąszczach nie chciały do nich chodzić, to w jasnym lesie przyjęły ową karmę. Widocznie lęka się sarna instynktowo w gęstwinach zasadzki, w grubopiennym zaś lesie nie bez poprzedniego dokładnego rekonesansu przyjmuje to sztuczne pożywienie. Każdemu hodowcy zwierzyny polecam przeto stawianie szopek w grubopiennych miotach lub na leśnych łąkach.

Antoś dożył roku 1842, swawolił w letniej porze, napadał ludzi, chodził po polach i gajach, i zawsze wieczorem wracał do swej ukochanej Wiktusi klucznicy. Nie mogę twierdzić, wszak *de mortuis nil nisi bene*, iżby stał się groźniejszym rozbójnikiem jak za młodych swych lat, wreszcie, „przyszła kréska na Matyska“ w sposób nieprzewidziany, nader tragiczny. Od wielu lat chowałem sępa Kubusia, mego wielkiego faworyta, znanego w całej bliższej okolicy, ptaka zasługującego rzeczywiście na monografię. Gdyby „Łowiec“ miał w swych łamach miejsce na ornitologiczne zapiski, to najchętniejbym mu przesłał życiorys tego wyjątkowego ptaka, wielce do mnie i do klucznicy przywiązanego, a nad miarę rozumnego. Owóż Kubuś nie lubił Antosia, a Antoś Kubusia, i mimo kilkuletniego wspólnego mieszkania, zawsze bywały między nimi nieporozumienia i nienawiść skryta. Antosia bawiło, gdy w złości rozpościerał Kubuś swe olbrzymie skrzydła, wtedy skakał koło niego i starał się gonić go i do lotu zmusić. Często przy mozolnem trawieniu zasnął Kubuś na słońcu, schowawszy swą gołą głowę aż po kołnierz pod skrzydła, wtedy figlarz rogacz zachodził pomalutku z tyłu, i rogami trącał sępa w kuper. Oczywiście ptak niespodzianie ze snu zbudzony, gniewał się, i z otwartym swym potężnym dziobem pędził za Antosiem po całem podwórzu, a czasem bywało tak źle z rogaczem, iż musiał uciekać do bliskiej brzeziny, gdzie Kubuś wyparowawszy napastnika poza sztachety obejścia mego, już dalej go nie prześladował. Jak to też bywa u ludzi, stosunki się polepszają lub psują, tak też się stało z moimi domownikami. Rogacz natarczywiej i częściej atakował sępa, a ten tak już był rozżarty, że gdy tylko ujrzał w bliskości swego wroga, otwierał dziób, aby go ciąć. W pewnym dniu nieco skwarnym drzemał sobie Kubuś w cieniu, a Antoś ruszył niewczesnym konceptem i począł skakać przez ptaka. Sęp się obudził, lecz nie ruszał z miejsca, owszem przyległ do ziemi widocznie knując zamiar srogiej zemsty. W chwili gdy figlarz był nad nim w powietrzu, rzucił się Kubuś w górę, uderzył dziobem w brzuch, i wypuścił rogaczowi kiszki tak, że część tychże w dziobie pozostała. Wszczął się popłoch, hałas, lament na całem obejściu, wszyscy się zbiegli do rozkraczonego rogacza, oban-

dażowano brzuch wsunąwszy kiszki do środka, okładano kompresami z lodem, zalewano arniką, położono pieszczocha na ulubionem łóżku, odstąpionem przez klucznicę, ale mimo tych usilnych starań, wnet zgorzelina ogarnęła wnętrzności, i Antoś skonał na łonie Wiktusi, zalewającej się gorącemi łzami, jakby po utracie najmilszego własnego dziecięcia.

JAZDA Z CHARTAMI NA IMIENINY

PRZEZ

Marcelego hr. Tyszkiewicza.

Około 15 Lutego t. r. wypadły w sąsiedztwie imieniny. Umówiłem się z sąsiadem moim, że po mnie zajedzie, i weźmie charty, aby, gdy się zdarzy, poszczuć lisa po drodze. W umówionym dniu, i to dość wcześnie, bo o godzinie jedenastej, przyjechał kochany sąsiad tak, że mieliśmy jeszcze czas zrobić pulkę preferansa, zjeść śniadanie, a o pół do drugiej wyjechaliśmy do C., żeby na piątą po południu być na miejscu. Odemnie do C. są trzy małe milki, a prowadzą trzy drogi. Wybrałem tę, gdzie najprawdopodobniej można się było spotkać z lisem. Ujechaliśmy już większą część drogi, i pomimo, że we trzech dobrze na wszystkie strony się rozglądamy, nie widać lisa. Już mój sąsiad zaczął się niecierpliwić i narzekać na złą drogę, bo rzeczywiście było kopno, kiedy Wasyl furman krzyknął: „Ot tam łys chodyt!“ Sąsiad sam wiózł nas angielskiemi czystej krwi kobyłami, a Wasyl siedząc koło mnie trzymał charty. Charcica leżała w saniach, a chart przy saniach szedł na smyczy, bo jazdy w saniach znosić nie może. Pasyonowany ów wykrzyknik zaalarmował charty tak, że chart zrywa się z obrózki i idzie w pole, a kochany Wasylek puszcza sukę ze sanek. Na szczęście lis był daleko, i charty go nie widziały, bo on poszedł w lewo pod górę, a charty na prawo. — Stanęliśmy z pospuszczanymi nosami powtarzając na wszystkie tony: „Oto dureń! nacożeś sukę puścił?“— Po dobrym kwadransie wracają psy górą, wyjeżdżamy i my, zeskakujemy ze sani, udajemy, że coś na śniegu łapiemy, aby charty do siebie zwabić, jakoż udało się nam. Ale i teraz pokpił Wasyl gorączka, bo widząc już z góry lisa na jakie tysiąc kroków, zamiast podejść z łagodnością, i włożyć chartowi obróżkę, on się na niego rzuca, przewraca się z nim, pies wrzeszczy, kąsa go w rękę do krwi, i wyrywa się. Wtedy dopiero w prośby, i jakoś po chwili połapaliśmy psy, ale lis musiał to wszystko słyszeć, bo bez zatrzymania oddalał się od nas, idąc ciągle kłusem ku głębokiemu parowowi. Wtedy najważniejszem naszem zadaniem było przeciąć lisowi drogę od tego parowu, bo parów ten był nie do przebycia. Puściliśmy się więc w prawo pełnym kłusem, i tak jechaliśmy przez pole, aż zbliżyliśmy się do lisa na jakie pięćset kroków. Lis paralelnie szedł z nami, a widząc nasz manewr, pomknął szparko, my także nie żałowaliśmy koni zbliżając się ciągle do niego. Wtem lis zwraca od nas, i wpada w mały jarek, i kiedy się w nim chowa, ja w tejże chwili zatrzymuję sanie, puszczam psy, a sam dalej jadę, a trzeba dodać, że psy go już przedtem widziały. Lis wyskakuje na drugą stronę jarku, a widząc sanie jadące w stronę przeciwną, zatrzymuje się nie dostrzegłszy, że z drugiej strony psy idą całym pędem, przechodzą jarek, i wyskakując na górę mają lisa stojącego na 30 kroków od siebie. Lis podniosłszy kitę do góry — w nogi. Ale nie ma rady, pies bardzo lotny w mgnieniu oka doszedł go i porwał. Nim dojechaliśmy, już psy jadły śnieg, a lis leżał nieżywy. Więc lisa w sanki, charty na smycze, i dalej a raczej nazad na drogę, z której zjechaliśmy. Do tej drogi prowadziła drożyna, którą zapewne gnój wożono. Jadąc zupełnie wolno, nadjeżdżamy nad mały jarek, i widzimy w lewo od nas pomykającego lisa, dążącego do głębokiego parowu. Sąsiad mój zwraca konie w lewo, i chce pędzić za nim galopem, ale ja wstrzymuję go, i dyryguję tak, że jedziemy kłusem ponad parowem nie widząc lisa. Znając wagę, iż parów ten prowadził do lasu, miałem racyę, bo ujechawszy z ćwierć mili spotykamy się z lisem, wyskakującym z parowu na jakie sto kroków od nas. W jednej chwili były konie wstrzymane, charty puszczone, i pomimo, iż lis trzymał się zdymki, był wzięty po kilku obrotach przez sukę na samej drodze, którą już bez spotkania z lisem dojechaliśmy do C.

Cała droga z uszczuciem dwóch lisów zabrała nam dwie godzin i kwadrans, mieliśmy jeszcze dobrą godzinę, aby pogawędzić, wdziać fraki, a następnie jeszcze czekać na pojawienie się solenizantki, aby jej złożyć życzenia, i przy dobrym obiedzie kielichem szampana zdrowie jej wychylić. Miła gawęda przeciągnęła się do późna, trzeba było zanocować. Nazajutrz po śniadaniu wyruszyliśmy do domu z zamiarem polowania po drodze na lisa. Ledwieśmy minęli lasek, widzimy, jak lis w znacznej odległości przechodzi nam drogę, i idzie ku stercie zboża, która stała o jakie sto kroków od drogi. Pominął stertę i o 50 kroków od niej stanął i patrzył na nas. Zanim zrównaliśmy się ze stertą, pokazaliśmy lisa chartom, a gdy nas sterta wobec lisa zakryła, puszczamy psy, które idą do sterty, jeden jedną stroną, drugi drugą, i wpadają na mekitę, — on w nogi, suka go bierze w obrot, a pies w pysk. I za tego lisa kochany Wasylek oberwał kpa, bo psa ze smyczem puścił, ale ten smycz jakoś nie zawadził. Ostatni to był jego czyn gorączkowy, ale zato doskonale upatrywał, toż nie koniec był jeszcze szczuciu.

Zajechaliśmy następnie do jednego sąsiada, aby się dowiedzieć o zdrowiu jego żony, i dalej za lisami ku domowi. Już wjeżdżaliśmy na Podkamieniecki gościniec z którego nam się rozległy i radośny widok przedstawił, spostrzegliśmy bowiem pomiędzy gnojem dwa, igrające lisy. Ujechawszy kawał gościńcem, zwróciliśmy w prawo, i podjechaliśmy dość blisko do swawolnej pary. Cicho puszczamy charty, które bez miłosierdzia rozłączyły tę miłosną parę, samca napędziły w prawo, samicę w lewo. Psy poszły za jegomością, i bez obrotu go wzięły, samica zaś wybiegła na pagórek, i przypatrywała się, a kiedyśmy odharapowawszy lisa i wziąwszy charty na smycz ruszyli, ona poszła galopem rolą, a my jechaliśmy ścierniskiem w pełnym kłusie paralelnie z nią. Lis był tak daleko od nas, że szkoda było charty puszczać,

boby się bardzo pomęczyły, więc jedziemy dobre ćwierć mili ciągle równo z lisem, aż na jego nieszczęście włazi mu mysz w drogę. Lis skacze na nią, co go przez chwilę wstrzymuje, a my tymczasem wyprzedzamy go, natrafiamy na drogę, prowadzącą w lewo, skręcamy, ale lis także już bliski tej drogi, aby ją przeciąć i do bliskiego lasku uciec. Wtedy ja puszczam psa, ten w całym pędzie idzie drogą ku lisowi, który spostrzegłszy go nie przecina drogi, lecz ucieka od niego, ale pies dochodzi go, i bierze bez obrotu. Taki był tragiczny koniec owej miłosnej pary, przed kwadransem jeszcze swobodnie harcowała, a teraz leżała już skrwawiona i martwa w saniach. Musimy przyznać, iż wcale nie rozrzewnił nas, smutny zgon kochanków, owszem radowaliśmy się myśliwskiem powodzeniem.

Nie koniec na tem. Blisko już domu spostrzegł Wasyl w ogromnej odległości lisa pomiędzy dwoma lasami, koło gnoju przy drodze. Lubo mam wzrok wyborny, nie mogłem go dostrzedz, więc pytam, którędy idzie, a gdy wskazał mi kierunek na prawo, zwróciłem konie, aby go odciąć od prawego lasu. Tak wyjechaliśmy, aż na to miejsce, w którem myszkował. Rozglądamy się, lisa nie widać. Stając w saniach mówię: „jedź wprost„. Ledwie ujechaliśmy 50 kroków, wymyka lis z małej doliny blisko nas, „hejże go!“ ale charty nie widzą, bo lis idzie przed końmi, ja z sanek, i ręką wskazuję chartom lisa, a las był blisko. Wnet szósty lis był wzięty w tej wyprawie naszej na imieniny, a dzień ten na całe życie będzie mi pamiętnym, i słowem zaręczyć mogę, że dzień imienin sąsiadki naszej drogim nam będzie na zawsze.

Rozochocony sąsiad mój przyjechał do mnie na drugi dzień z żoną, i pojechaliśmy umyślnie na lisa. W ciągu pięciu godzin uszczuliśmy jednego, ale gdy do domu sam z żoną bez furmana wracał już z zachodem słońca, uszczuł jeszcze dwa jednego po drugim. Tak więc w trzech dniach uszczuto dziewięć lisów.

Przy jednym uszczutym lisie znaleźliśmy krwawą mogiłkę, w której ujrzeliśmy świeżo nadjedzonego zająca. Drugi to wypadek w tej zimie, bo hr. Ol., sąsiad mój znalazł podobnie zjedzonego zająca, i przy takiejże krwawej mogiłce zastrzelił lisa. I takichto szkodników zabrania Ustawa łowiecka zabijać od 15 Lutego. Ciężko zgrzeszyli ci, co się przyczynili do ochrony rodu lisiego. Taka ustawa u nas tylko istnieje, cały świat w każdej porze roku tępi lisa. Prawda, że polowanie na lisa należy zaliczyć do najprzyjemniejszych, ale mając na względzie szkodliwość jego, winien myśliwy odmówić sobie tej przyjemności, i przez cały rok lisa prześladować. Lis obdarzony jest nadzwyczajnym węchem, a z wiosną na rosie biada kuropatwom, cietrzewiom, jarząbkom, zającom, a nawet i młodym sarniętom. Widziałem raz, jak cieciórka rozpadała się nad lisem, a on z młodą w pysku przypatrywał się jej złośliwie. Gdy zabiera się do stadka kuropatw, to do ostatniej wyłapie. Miałem sposobność dostrzedz, jakto on wietrzy, jak podpełza na brzuchu, a gdy podsunie się na kilka kroków, skacze jak kot na pastwę, i rzadko spudłuje, choćby już doskonale kuropatwy latały. Najdosadniej przekonać się można, jaki to rozbójnik, przy rozkopywaniu gniazdowych jam! Czegoż tam nie ma? Tamto posłanie z zajęczego puchu, z różnorodnych piór, a ile tam pazurków zajęczych! Najzapaleńszy charciarz przez całą jesień nie złapie tyle zajęcy, ile lis z wiosną ich nadusi. Oto prawdziwie passyonowany *raubschütz, braconnier*, kłusownik, złodziej i rozbójnik na zwierzynę!

Radbym, żeby głos mój nie był głosem wołającego na puszczy, i żeby wszyscy przejęli się przekonaniem, iż lisa zawsze i wszędzie tępić należy, bo lis tylko w ostateczności podobnie jak kot łapie myszy, a gdy raz zakosztuje kuropatwy albo zająca, to już pewnie porzuca kocią rolę. Nie wierzę ja też i kotom, bo nieraz widywałem, jak kotka dzieciom swoi zajączki znosiła. Dla tego też nigdy kotowi w polu nie pardonuje, czy jestem ze strzelbą, czy z chartami.

Charty pana M., kochanego sąsiada mego, są rasy mięszanej, angielsko-polskiej, jeszcze miotu jego dziada, bardzo dobre do zająca, a na lisa nadzwyczajne, biorą każdego lisa pojedyńczo. Tak zawziętego charta, jak jego pies, bardzo mało widziałem. Kiedy zobaczy lisa, zmienia się cała jego fizionomija, a przy dochodzeniu odzywa się dwa lub trzy razy cienko, jak gończy, i wtedy lis na pewne bez obrotu bywa wzięty, a kiszki z niego w momencie wypuszczone. Widziałem raz, jak się odbywa ta operacya. Jednego lisa objechaliśmy bardzo blisko, kiedy on mysz łapał, puszczono charta, i kiedy lis na dziesięć kroków od siebie posłyszał głos psa *aj, aj*, wtedy dopiero skoczył, ale w tejże chwili był już w pysku, ja z sani do lisa, jeszcze żył, ale już bebechy miał wypuszczone. Ciekawy jestem, coby to było, gdyby kiedy trafił ten chart na żmijkę. Żmijką nazywany bywa lis, którego charty w pysk nie biorą. Obecnie nie będę się nad tem rozwodził, ale przy opisie ukraińskiego polowania w burzanach na wilki i lisy, opowiem kilka dziwnych zdarzeń.

JELEŃ

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Żerowanie w zimie. — Zmieniła się postać gór. W lecie tam wdzięcznie i wesoło, pełno ziół wonnych, traw cieniutkich jak jedwab, potoków szumiących, których szmer wszakże jelenia nie trwoży, owszem lubi on wysłuchiwać tego szumu. Gdy zrzuci ozdobę swą, wieniec, uchodzi w bór gęsty, i tak długo tam przebywa, aż mu odrośnie. Porzuca stado może obawiając się, iżby zeń nie szydziła swawolna rzesza, której był wodzem, i nie nazwała jak ludzie „gamułą“. W tej czarnej dla niego godzinie potok jedynym jest jego powiernikiem i przyjacielem, on w zwierciedle swych wód oznajmia mu wieść miłą, koniec żałoby i wygnania, wzrost nowego, strojniejszego wieńca. — Zima zmienia całą przyrodę, letnie żerowiska pokrył grubą warstwą śnieg, zioła i trawy mrozem zwarzone. Wszystko pogrążone w śnie głębokim i długim,

trwającym nieraz do połowy maja. W borze głucho i ponuro, ptactwo uleciało w doliny, nawet gil, z wiosną w najgłębsze ostępy Bieszczadu przylatujący, i tam jedynie w lecie przebywający i pisklęta wywodzący, — uchodzi w niższe okolice, a ludzie ujrzawszy owego gościa rokują srogą i długotrwałą zimę, co się zawsze ziszcza. Kto nie widział zimy w Bieszczadzie, temu nieudolne pióro moje nie da dokładnego o niej wyobrażenia. Wszystko, co tam w lesie żyje, uchodzi znając jej grozę z doświadczenia, lub przeczuwając instynktowo. Jeleń opuszcza również jego szczyty, i zchodzi na południowe stoki węgierskie, na których mniej śnieżno i mniej mroźno, idzie coraz niżej aż ku lasom dębowym, nawet w pobliże siół, których w lecie starannie unika. Tryb żerowania zimowego jest pod każdym względem odmiennym od letniego. Zdarzają się wypadki, iż podczas śnieżnej zawierzuchy przez dwie doby jelenie nie wychodzą z legowiska na żer, spożywają więc co znajdą w pobliżu, opadłą bukwę lub żołądź, wydrapane racicami z pod śniegu, a gdy tych nie stanie lub wcale nie ma, ogryzają korę. Starsze, kraśniejsze wytrzymują takie straszne przygody, lecz dziewięcio lub dziesięcio-miesięczne jelonki i łanki najczęściej padają ofiarą tak srogiej zimy — giną. Taka klęska pozostawia ślady na starych i młodych, szpiczaki po raz pierwszy stawiające rogi, dostają je w niezwykłej porze, wątlejsze i krótsze, ruja się opóźnia, a i płód bywa słabszy, a przyczyną tego wszystkiego wynędznienie, z jakiem wychodzą z tej srogiej walki z niedolą. Podczas zwykłych, niezbyt śnieżnych i srogich zim nie bardzo trudno o żer, wtedy spasają jelenie oziminy na przyległych lasom polach, ogryzają leszczynę i niską brzezinę, wichrem oderwane drobne gałązki dębów i osik, bardzo pożywne, a jeśli las stary, to go obsiadły różne roślinne pasożyty, mech na pniach, jemioła na gałęziach, to z nich uczta gotowa. W zimie nie trzymają się jelenie jak w lecie stale tych samych ostępów, przechodzą z miejsca na miejsce, gdy wszystko spożyją, ruszają dalej, czasem nie dłużej jak dobę na jednem miejscu pozostając. Żerować zwykły długo w noc zwłaszcza gdy jasna, księżycowa, począwszy od zmroku. Spocząwszy kilka godzin, wyruszają przed późnym zimowym wschodem słońca na powtórne żerowanie, długo za dnia trwające. Przerwy między jednym a drugiem żerowaniem krótsze są w zimie jak w lecie, przyczyna naturalna, bo w zimie dłużej i trudniej żeru szukać muszą, gdy przeciwnie, w lecie i w jesieni wszędzie go dostatnio i z łatwością znajdują. Napoju więcej też w zimie jak w lecie potrzebują, żer bowiem nawet pożywny mniej soczysty. Gdy się napasą do syta, wietrzą za wodą, którą z znacznego oddalenia poczują, a pijąc nie wciągają przez zęby, jak to czyni bydło rogate, lecz zanurzywszy pysk wraz z nozdrzami dość głęboko, połykają wodę, przekąsując rzerzuchą wodną, na mulistem dnie potoka rozkosznie nawet śród najtęższych mrozów rosnącą. Takie wycieczki do wody bywają często połączone z tragicznymi wypadkami, których autorem jest — ryś. Niezmiernie drapieżny i podstępny ów zwierz wie z doświadczenia, że wszelka zwierzyna nawet z dalszych ostępów ściąga się do potoków, a niezamarzłych wcale ich nie wiele, tam to on zaczaja się na drzewie lub w gąszczu, i czatuje nieruchomy ciałem, ale duchem w gorączce, która się wyraża w blasku jego zielonych oczów, lub w lekkiem drganiu pendzlików usznych, zdradzających wytężone nasłuchiwanie. Naraz drgnął, jakby dotknięty iskrą elektryczną — już idą ofiary jego drapieżności. Po chwili jęknęło w powietrzu żałośne, urwane beknięcie, — już ryś dławi młodego, bezrogiego jelonka, jak błyskawica spadł nań, i zatopiwszy zęby i pazury w jego ciele ssie żarłocznie ciepłą krew. I znowu cisza, tylko zdala dochodzi ucha chrzęst chrustu, to stado strwożone uchodzi. Nie mało tam sarn i jeleni ginie od pazurów rysia, stokroć groźniejszego wroga zwierzyny od wilka.

R u j a. — Pora bekania łań poczyna się w drugiej połowie Sierpnia, i nie trwa dłużej, jak do końca Września. Starsze zażywniejsze lub te, których płód przeszłoroczny wyginął, więc karmieniem nie wycieńczone, bekają się rychlej, to jest w Sierpniu, łanie zaś karmieniem cieląt wychudzone albo wcale się nie bekają, lub razem z młódkami t. j. łaniami po raz pierwszy ulegającemi popędowi płciowemu — w miesiącu Wrześniu. Łanie przy zbliżaniu się pory rui nie zmieniają trybu życia, zachowują się spokojnie, czyli raczej biernie, natomiast samce objawiają już w miesiącu Lipcu pewną zmianę w powierzchowności, drażliwość wyrażającą się w terroryzowaniu szpiczaków, a nawet słabszych rogaczy, będących w stadzie. Znak to zbliżania się rui. Wtedy szerść krasnego rogacza przybiera barwę ciemno-kasztanowatą, szyja przedtem wysmukła, krótkim porośnięta włosem, grubieje, cały przewód oddechowy wydyma się w kształcie podłużnego wola, a u góry szyi po obu stronach spada włos szorstki, ciemnej barwy, a długi, jak grzywa średnich rozmiarów rumaka. „S w i e c e“ zawsze pełne życia, teraz jakiegoś dziwnego, pełnego ognia nabierają blasku, ztądto zapewne myśliwi oczy jelenie nazwali świecami. Drażliwość zwiększa się z każdym dniem, spokojny niedawno szuka kłótni i waśni, to wznosi dumnie głowę ukoronowaną, potrząsając nią niecierpliwie, to szeroko rozwarłszy nozdrza wietrzy dziwnie gwałtownie, nie tak jak przedtem, gdy na żerowisku lub w pochodzie badał, ażali nie grozi stadu jakie niebezpieczeństwo. Nagle ryknie gromkim głosem, ktory głucha puszcza długo na wszystkie roznosi strony. To hasło do rozpoczęcia godów weselnych a zarazem wyzwaniem do walki rywalów. Zaledwie przebrzmiał ów głos, odzywają się z kilku odległych stron podobne „p o r y k i“. Przyjęto wyzwanie, więc jakie znajdują się w okolicy rogacze, spieszą na plac miłości i walki. Każdy samiec, k r a s n y czy c h ł y s t (pozwoliłem sobie tak nazwać rogacza pośledniejszego), a nawet szpiczaki porykują, im częściej i wyższym głosem, tem rogacz gorszy, krasny tylko zrzadka basem się odzywa. Poryki te nie są jedynie wyzywaniem do walki, głównym celem jest oznajmienie swej bytności, tóż dążą ku temu głosowi bekające się łanie. Gdy pora rui trwa już dłużej, roznamiętnione rogacze, podrażnione jeszcze porykiwaniem współzawodników w miłośnym zapale, porzucają stada, i spieszą na przeszłoroczne rykowisko, na miejsce, w którem odbył się akt płciowy i sroga walka. Miejsce to dobrze zachowują w pamięci tak zwycięzcy jak zwyciężeni. Tak spieszą za głosem rywalów, bo też zazdrośni są rogacze nad miarę, najlżejszy poryk budzi w nich szał, pędzą jak opętane przez gąszcze i jary, a łania też milcząc dąży za głosem miłego. Rogacz ujrzawszy współzalotnika, mierzy go iskrzącem okiem, obadwa pochylają głowy, i w pędzie uderzają na siebie czołami. W owej to walce okazuje się wspaniała piękność rogaczów, grzywy ich jeżą się groźnie, muszkuły się wzdymają, wytężają siły ciała i ducha w celu odniesienia zwycięztwa. Rogi ich jakoby konary dwóch dębów splatają się z sobą, i gdy górne „r o s o c h y“ łamią się i kruszą w tych wściekłych zapasach, dolne o wiele silniejsze kolce róż kostnych, wyrastających, na słupcach, ani się zachwieją. Kolce owe *(Augensprossen)* nie mają podobno jeszcze nazwy w naszym języku łowieckim, są to pierwsze odnogi rogów, poziomo powyżej róż wyrastające, ostre, naprzód wystające. Straszną są one bronią rogaczy, zatapiają się w skórę powyżej czoła,

tym sposobem pomiatają sobą dwaj zapaśnicy, aż jeden z nich padnie na kolana, a w końcu i tylne badyle lubo stalowej siły i sprężystości ugną się, wtedy zwycięsca w jednej chwili wyplątuje swe rogi, i z całą siłą godząc kolcami w bok zwyciężonego, przeszywa nimi mężne serce rywala. Na polu walki ziemia zryta racicami, krwią zbryzgana, a na tem krwawem pobojowisku dumnie wznosi głowę bohater, wydaje ryk głośny, jakoby oznajmiał światu swoje zwycięstwo. Częstokroć splączą rogacze tak silnie swe rogi, iż ich już rozwikłać nie mogą, wtedy giną i stają się zwykle pastwą wilków. W gorączce walki zapominają rycerze o celu walki, o nadobnej łani, a ona tymczasem w miłośnym uścisku chłysta. Walką znużony krasny rogacz nie rzuca się na szczęśliwego chłysta, który zresztą jako naoczny świadek groźnej walki wcześnie w ucieczce szuka swej całości. Łania nie zaraz powraca do stada, włóczy się z bohaterskim małżonkiem, który nieraz jeszcze krwawą musi stoczyć walkę, nie brak bowiem łani adoratorów, idących w tropy miłosnej pary. Młode łanie, lękając się roznamiętnionego rogacza, umykają od niego, aż wreszcie przebojem osięga cel, w pełnym biegu spełniając akt płciowy nader krótko trwający. Prawo przyrodzone wymaga dalszego krzyżowania się. Jest rzeczą pewną, że tak u ludzi jakoteż u zwierząt łączenie się w bliskiem pokrewieństwie hamuje rozwój fizyczny. Płód zwierząt jednego gniazda jest wątły, podległy różnym chorobom, upośledzony co do wzrostu i siły. Wiedzą o tem dobrze hodowcy koni, owiec lub bydła rogatego, więc w pewnych odstępach czasu starają się odnowić krew, i tem zapobiedz degeneracyi. Jak tu rozum człowieka, tak u dzikich zwierząt przyroda sama kieruje. Gdy przeto nadchodzi pora mnożenia się, objawia się w świecie zwierzęcym ruch niezwykły, jak np. u psów, wilków, lisów i t. p. Samice porzucają miejsca gniazdowe, uchodzą w dalekie strony. Jakiż w tem cel? Nie inny jak wstręt do łączenia się z krwią sobie bliską, a przyrodzony popęd dalszego krzyżowania się. U jeleni przeciwnie samce opuszczają rodowe stado i pomykają w dalekie strony szukając obcej sobie bogdanki, wyjątkowo tylko łączy się z pokrewną. Tak się dzieje u zwierząt czworonożnych, inaczej u skrzydlatych. W jesieni i zimie żyją one społem dzieląc dolę i niedolę losu, gromadzą się w wielkiej liczbie, tępieje uczucie płciowe a zarazem pokrewieństwa, więc na wiosnę w porze zawiązywania małżeństw, łączą się i mięszają dowolnie. Oto znaczenie owych chmur ptactwa, jak wron, gawronów i t. d. w ogóle tego, które nie odlatuje w ciepłe kraje i zimuje w miejscach rodzinnych. Toż samo dzieje się u ptactwa wędrownego w czasie podróży, lecąc gromadnie zapominają o stosunkach pokrewieństwa, a na wiosnę każdy samiec wraca do miejsc rodzinnych z inną małżonką. Nawet gołębie, ów symbol wiecznej i trwałej miłości, nie stanowią wyjątku od tej reguły, ani też wzór sielankowej zacności — klekoczące na słomianych strzechach bociany. Bądź pewny rolniku, iż w tym roku nie taż sama para twój dom nawidziła, która w przeszłym po ruskim Spasie go porzuciła. On albo ona z innego wyszły gniazda, a jeżeli ujrzysz walkę na gniaździe bocianiem, to niezawodnie jedno z pary przeszłorocznej pragnie zdobyć prawo własności, które sobie obcy przybysz przywłaszczył. Tak to krzyżują się zwierzęta, i dla tego ród ich nie zdrobniały, lecz silny.

W pierwszej połowie Października, gdy już ostygły miłośne zapały, powracają łanie do swych stad, za niemi rozpierzchła płeć męska, chłysty i szpiczaki, dotąd stanowiący orszak weselny, rogacz zaś krasny uchodzi w las na czas niejaki, aby pokrzepić nadwątlone siły, nietylko bowiem wysilił się przy godach weselnych, ale zapomniał przy nich o śnie i pożywieniu, a nadto w walce poniósł rany, które teraz należy obmyć i wygoić kryształowej czystości wodą potoków. Z końcem Października stygnie wzajemna ku sobie nienawiść rogaczy, wraca dawny tryb życia i spokój zupełny, nawet grzmiących śród gór nie słychać ryków, a bór staje się znowu cichym i tajemniczym, jak dawniej. Zapłodnione łanie trzymają się stada aż do pory, w której pomiot następuje, w 41 do 42 tygodni. Wtedy łania porzuca stado, w ustronnem, niedostępnem miejscu obiera sobie łożysko, i wydaje na świat zwykle jedno, rzadko kiedy dwoje cieląt, których przez trzy lub cztery doby ani na chwilę nie opuszcza. W pierwszych chwilach matka układa się, a dzieci ciągną sutki, ale gdy one już się dźwignąć zdołają, karmi je stojąc, a gdy wymię za niskie, to młode przyklękają. Po jednym lub kilku tygodniach wywodzi je matka na żerowisko. Matka strzeże i pielęgnuje starannie aż do następnej pory bekania się, poczem je opuszcza.

Łowy. — Staropolskie przysłowie mówi: „Kiej mi licho z gospodarza, co gazduje z kalendarza“. Można je też zastosować do łowiectwa. Komu się zdaje, że przeczytawszy choćby najlepsze dzieło traktujące o łowiectwie, już się stał doskonałym myśliwym, a poprzedniej praktyki mu nie potrzeba, ten się grubo myli. Książki stawiają reguły, ale nie wszystkie od nich wyjątki, a tych wyjątków jest tyle, ile pór, nawet godzin w roku, ile odmiennych miejscowości, ile przeróżnych rewirów i kniei. My już na jelenie polować nie umiemy, bo ów zwierz w Polsce prawie zupełnie zaginął. Według podania M. Reumana w wybornem dziś jeszcze dziele: Gospodarstwo łowieckie itd. Warszawa, 1845.“ wybito w lasach do dóbr Lubochni należących od r. 1816 do 1823 resztę jeleni, i od tej pory nie pokazały się ani tam ani w innych najbardziej lesistych okolicach. Jakkolwiek wielce cennem jest dzieło Reumana, to jednak dziwne, iż nie wiedział wcale o istnieniu jeleni u podnóża Karpat, uważał je za wytępione.

Do łowów na jelenie przedewszystkiem potrzebną jest dokładna znajomość ich obyczajów, a następnie okolicy, w której łowy odbywać się mają. Może się komu zdaje, iż dostateczne są w tej mierze dobre ogary, liczna nagonka i sproszeni celni strzelcy. Zaiste to jeszcze mało. Polowanie w górach na jelenia z nagonką lub psami rzadko się udaje, już sama natura górzysta kniei jest przeszkodą, a ileżbyto i jakich ludzi potrzeba, by zająć i przepędzić dobrze miot poprzerzynany głębokimi i skalistymi jarami, potokami ze stromymi brzegami, górami z wysokimi szczytami. Jak doprowadzić nagonkę na miejsce przeznaczone, kiedy na to trzeba poświęcić kilka godzin mozolnego trudu i wysilenia, a ileż to miejsc jest wcale niedostępnych. Rozświećmy rzecz przykładem. Mamy stu wyborowych naganiaczy, pragniemy zająć szerokość kniei taką, iżby owi naganiacze postępując naprzód w odległości dwudziestu kroków od siebie tworzyli łańcuch. Odezwał się sygnał, iż myśliwi już rozstawieni, więc nagonka rusza. Niektórzy z niej mają przed sobą równą przestrzeń, idą zwolna i cicho, co niezbędnie jest potrzebnem przy łowach na płowego zwierza, drudzy po krokach kilkunastu trafiają na potok głęboki z szumiącą wodą, inni muszą się wspinać na szczyt stromej góry, którą obejść nie ma dosyć czasu, więc łańcuch albo staje, albo przerywa się. Gdyby nawet możebnem było porozumiewanie się pojedyńczych ogniw łańcucha z sobą, to w takim razie gon szedłby żółwim krokiem, co też się zwykle dzieje, gdy koniecznie porządek w nagonce ma być utrzymany. Najczęściej jednak powstaje w szeregu nagonki nieład, jedni już

są na przodzie, drudzy pogubili się w wertepach i gąszczach, po jednemu lub po kilku z różnych stron wychodzą nie wypędziwszy zwierzyny, a jednak jeleni było całe stado, ale żaden nie wytknął na myśliwych ani na nagonkę. Stado pomknęło przerwą nagonki w tył. Myśliwi zmarnowawszy wiele godzin czasu wracają zniechęceni i skwaszeni do domu.

Również polowanie z ogarami wyjątkowo tylko się udaje. Jakiejbo też trzebaby liczby strzelców, żeby obsadzić wszystkie stanowiska tak rozległej kniei. Psy trafiają rogacza, który ma zwyczaj wodzić je po najwyższych szczytach gór. Jeżeli przypadkiem zwierz goniony wypadł na myśliwego, to pada od celnego strzału, chybiony zaś pomyka jak strzała przez szczyty do Węgier lub w dalsze ostępy, psy rozgorączkowane idą za nim, i przepadają dla myśliwych. Chyba mocno ranionego jelenia psy zforsują i osaczą. Przepiękny to widok pomykającego jelenia, najbujniejsza fantazya odtworzyć go nie zdoła. Z dali u samych szczytów dochodzą głosy goniących ogarów, — padł strzał, — jeszcze echo jego nie przebrzmiało, a głosy goniącej złai nie wyraźne, bo dalekie, gdy nagle odzywa się łomot i trzask gałęzi, a po chwili wypada z gąszcza jeleń, staje jak wryty, wietrzy, nasłuchuje, zwraca głowę w stronę gonu, łyżki to składa na głowie, to w górę je stawia, wreszcie pomyka jak strzała, sadzi przez jary i potoki, których wodą nie zapomniał się pokrzepić. Takie pojenie się zimną wodą, a następnie zatrzymywanie się bywa dla jelenia zabójczem. Nagłe ochłodzenie rozgrzanej pędem krwi wywołuje strętwienie badyli. Jestto ochwat pojawiający się u zajęcy i koni, toż Niemcy zowią tę chorobę *Hirschkrankheit*. Jelenie w ogóle mają zwyczaj częstego pojenia się lub kąpania w wodach jezior i rzek, a gonione nie zaniedbują tego zwyczaju, i narażają się tem na ową chorobę. — Gdy ogary zforsują jelenia, i już dalej pomykać nie może, natenczas staje, i zchyliwszy głowę do samej ziemi prawie, oczekuje natarcia rozjadłej złai, lecz biada zuchwalcowi pragnącemu nadto zbliżyć się do niego, śmiałość odpokutuje śmiercią, pada rażony ostrzami kolców lub rosochami, którymi go uniosłszy jeleń w powietrze rzuca gwałtownie i kości gruchocze. To też nigdy ogary nie biorą zforsowanego lub lekko ranionego jelenia, lecz go tylko osaczają, i tak długo trzymają w oblężeniu, aż myśliwy nadbieży, i celnym strzałem lub ostrzem kordelasa położy koniec jego życiu. Przy braniu jelenia na ostrze żelaza powinien myśliwy być bardzo ostrożnym, i nie zbliżać się doń nierozważnie, nie przekonawszy się naprzód, ażali zwierz mocno lub mniej wysilony, stoi lub mocno zraniony leży. Gdy jeleń krasny, kapitalny, to nie łatwa z nim przeprawa zwłaszcza, gdy z tyłu zabezpieczony potokiem, skałą lub głębokim jarem, wtedy mogąc nań natrzeć tylko z przodu lepiej się wyrzec rycerskiej na żelazo walki z nim, i raczej celnym strzałem go powalić, w przeciwnym razie dzieje się toż samo z myśliwym, co z natarczywym ogarem, rogacz bowiem spostrzegłszy zbliżającego się napastnika, rzuca się nań, i bierze na rogi, a wtedy kalectwo, a nawet śmierć niezawodna. Nawet mocno raniony rogacz, gdy legł już na ziemi, w ostatniej jeszcze życia swego godzinie bywa groźnym, badylami bowiem i racicami srogie zadaje rany.

Branie jelenia na ostrze kordelasa stało się już dzisiaj prawie mytem, w dawnych czasach zwykli byli myśliwi wprawiać się do tego rodzaju szermierki, jak w hiszpańskich walkach z bykami, nie wszyscy jednak byli matadorami, toż i myśliwi dzisiejsi np. w Niemczech, Szkocyi, tylko niektórzy, wprawni, rozważni i zuchwali odważają się na taką walkę groźną. Główną wskazówką u jelenia jego zamiarów w obec nacierającego łowca są łyżki i świece, pierwszemi porusza niespokojnie, a w końcu po sobie kładzie, wtedy niezawodnie rzuci się na wroga. Gdy łyżki są nieruchome, a świece iskrzą się, wywracają tak, iż tylko białka są widoczne, natenczas przednimi badylami naprzód wyrzuci, srodze kalecząc ostremi ich racicami. Wtedy zwierz ten tak gwałtownie i błyskawicznie naciera, iż podobno hiszpański Matador wolałby mieć do czynienia z najsroższym bykiem, jak z nim.

W dawnych czasach, nim jeszcze poczęto używać broni palnej, nie znano innego sposobu polowania na jelenie, jak tylko branie ich na oszczep. Takie polowanie mogli urządzać tylko monarchowie lub magnaci, były bowiem nader kosztowne, wymagające wielkiej liczby ludzi, koni i psów. Bolesław Wstydliwy słynął z zamiłowania do łowów na grubego zwierza. Niedostępne bory ówczesnej puszczy Niepołomickiej były areną jego sławnych łowieckich zapasów, nie rzadki też tam był rogacz, a jako się tam łowy odbywały, com wyczytał, opowiem. Puszcza Niepołomicka nie należy do zbyt górzystych, a jakkolwiek są w niej dosyć wysokie wzgórza i rozległe jeziora, to jednak nie utrudniają one łowów tyle, ile w Karpatach, gdzie zwierza zforsować niepodobna. Nasi praojcowie i nasi władcy, zajęci nieustannie prawie sprawami wojennemi, nie mogli się cali oddawać łowom, chętnie wszakże wyruszali na owe rycerskie z dzikim zwierzem zapasy. W jesieni na kilka dni przed rozpoczęciem łowów niezwykły ruch panował na zamku królewskim w Krakowie, nadworny łowczy osobiście lustrował królewskie psiarnie, a te były liczne, z samych prawie olbrzymich kundysów złożone, których nieraz po 100 drążków bywało. Ogromnych tych psów używano tylko do łowów na grubego zwierza jak jelenia, wilka lub dzika, a zwano je drążkowymi, ponieważ w celu zapobieżenia ich wzajemnemu z sobą zażeraniu się, wodzono je do kniei nie zesworowane sznurem, rzemieniem lub łańcuchem, lecz na dwułokciowym grubym drążku, upięte na końcu każdego z nich. Ze wszech stron ściągali się miłośnicy łowów, a gdy już wszystko do wyruszenia było gotowem, z brzaskiem dnia wyprawiała się cała drużyna myśliwska w puszczę, wszyscy nie wyjmując króla konno, zbrojni w oszczepy, nieznano bowiem podówczas innej broni łowieckiej. Z kilkuset osób często składał się orszak myśliwski. Król nie chcąc zbyt ciężyć kmieciom i szlachcie w pobliżu puszczy osiadłym zwłaszcza, że łowy częstokroć trwały miesiąc cały i dłużej, wysyłał na dni kilka przed rozpoczęciem łowów mnogie podwody napełnione prowiantem dla ludzi, koni i licznej psiarni. Psy wszakże zwykle żywiono podczas łowów mięsem zakupionego u włościan bydła w celu zapewne wzmocnienia ich sił, bo też do niemałej były przeznaczone pracy. Musiały one wytropić zwierza, wilka zdławić bez pomocy myśliwego, a srogiego odyńca osaczyć, i chwyciwszy za uszy przytrzymać, aż go który z znakomitszych myśliwych wziął na oszczep, grot jego zwykle w paszczę otwartą i spienioną z całą siłą wpychając.

Łowy na jelenia odbywały się w sposób więcej malowniczy. Gdy leśnicy donieśli o bytności jeleni w którym z ostępow puszczy, wyruszano na nie z psami najdowodniejszymi, na koniach pewnych w nogach a nie płochliwych, ściganie bowiem jelenia w owych czasach nie było rzeczą dojeżdżaczy, których wtedy nie znano, lecz myśliwych. Kilkunastu, często nawet kilkudziesięciu łowców z królem na czele, puszczali się pędem szalonym za rogaczem, pomykającym przez jeziora i gąszcze, i upędzali się za nim często dzień cały, aż go wreszcie psy osadziły. Który z łowców miał najdzielniejszego rumaka, i pierwszy do osaczonego zwierza dobieżał, ten miał prawo

pierwszy, z konia nie zsiadając, przeszyć pierś królewskiego zwierza oszczepem, do czego trzeba było nader wprawnej ręki, przytomności i zimnej krwi, a koń też nie mógł być płochliwym, iżby rzuceniem się w bok lub wspinaniem nie utrudził łowcowi zadanie śmiertelnego ciosu, w czem, jeżeli to tylko było możliwem, królowi zostawiano pierwszeństwo. Widok to musiał być nader malowniczy, gdy krasny rogacz z szyją w tył wyrzuconą, z wieńcem rosochatym na grzbiecie położonym mknął jak strzała gąszczami puszczy, a za nim rwała się złaja rozjadłych psów wydających z siebie głosy, które głucha puszcza stokrotnem echem powtarzała; po chwili dopiero ukazywali się jeźdźcy na spienionych rumakach, uzbrojeni w krótkie oszczepy, z spusczonemi przełbicami dla ochronienia twarzy od prętów gąszczy i gałęzi drzew. Zjawili się na chwilę i znikli jak duchy w ciemnej gąszczy, szum tylko i trzask gałęzi dawał się słyszeć za nimi. Wtem gromki głos ozwał się gdzieś w głębi ostępów, to odgłos rogów zwiastujący tryumfalnie, iż poległ goniony zwierz królewski. Najwprawniejsi nawet łucznicy podobno rzadko celnie strzelali z łuku do zwierza w pędzie, wreszcie broń ta nie była dalekonośną, więc zapewne jej nie używano do łowów na jelenia, chyba borowi, jak podówczas zwano strażników puszczy Niepołomickiej, w której tylko król polował i — kłusownicy, a tych i wtedy nie brakowało, bijących zwierzynę na podchodnego i wychodnego.

W podobny nieco sposób „*par force*“ polują na jelenie Indyanie Ameryki południowej na swych okiem nieprzejrzanych stepach czyli prerjach. Jelenia owego zwą Niemcy *Prairiehirsch* (jeleń stepowy). Różni się on od naszego chyba wzrostem, jest mniejszy czyli raczej wysmuklejszy, i barwę włosa ma więcej żółtawo-płową, zresztą jest zupełnie podobny do innych jeleni, które z wyjątkiem Afryki cały świat posiada. Wiadomo z opisów, że amerykańskie preryе są olbrzymie, prawie bezleśne, ale nader bujną trawą porosłe płaszczyzny, w których krom innej zwierzyny licznie przebywa jeleń stepowy, a polują na niego nietylko europejscy myśliwi — handlarze, ale także wszystkie dotąd jeszcze dzikie szczepy indo-amerykańskie, zawsze na koniach, a ubijają go z łuku, lub bronią palną. Konno polują w następny sposób. Opatrzeni są w *lassos* t. j. arkan z skóry bawolej, kilkanaście metrów długi. Arkan taki na jednym końcu w długości jednego metra przekrojony, a w przekrojenia końcach umieszczone kule ołowiane wielkości kartacza. Tak uzbrojeni wyruszają w kilku lub kilkunastu na preryе, puszczając w jej gęste trawy psy doskonale wietrzące i głosem zwierza goniące. Gdy psy ruszyły n. p. jelenia, jeźdźcy wiedząc, iż wkrótce wymknie na przestrzeń mniej bujną trawą porosłą, tu mu bowiem pomykać łatwiej, gdy przeciwnie w gęstej i wysokiej trawie wieniec mu bieg utrudnia, rozbiegają się czerwonoskóry łowcy na wszystkie strony, czatując z przygotowanym do rzutu lassem na wymykającego zwierza, a gdy się ukaże, zarzucają mu arkan nie na głowę, lecz na badyle. Splątany jeleń powala się na ziemię i odbiera cios śmiertelny nożem lub tomahawkiem t. j. toporkiem. Jeżeli rzut lassem był bezskuteczny, a krasny rogacz lub łania pomknęły jak strzała w preryе, wówczas już chyba trzeba je zforsować. Za pomykającym jeleniem pędzi łowiec na swym wiatronogim koniu. Pęd jelenia niezmiernie rączy ale nie wytrwały, po pewnym czasie zwalnia bieg, z czego korzystając jeździec dobiega, rzuca lasso i chwyta zwierza. W inny jeszcze sposób odbywają się łowy na rozległych prerjach, podobny do naszej obławy z nagonką, stokroć bardziej zabójczy, bo za pomocą ognia. Olbrzymie trawy puszczy nigdy nie bywają tknięte przez kosę, ani też wypasane, dochodzą więc do niesłychanej wysokości i gęstości, dojrzewając i schnąc opadają na ziemię, na nich wyrasta świeża trawa, a środkiem niej wije się rzeka lub strumień. Gdy się zbliży pora zimowa, cechująca się tam spadającymi obfitymi deszczami, gdy poczynają wiać silne i długotrwałe wiatry, wówczas wyruszają całe pokolenia Indyan w preryе na łowy. (Ciąg dalszy nast.)

KILKA SŁÓW O BRONI ZBYTKOWEJ.

PISAŁ

L. Weeber.

Ażeby dzisiejszy postęp w udoskonaleniu broni myśliwskiej należycie ocenić, wypada nam cofnąć się myślą w czasy dawniejsze, i wspomnieć o tych niezwykłych wyrobach sztuki rusznikarskiej, które jako ślady fantazyi i dawniejszej świetności tej sztuki wyłączają ją z rzędu pospolitych rękodzieł, i krzepią ducha dzisiejszych adeptów tej sztuki, nacechowanej piętnem upadku w okazach lichej produkcyi fabrycznej.

Szereg uwag o broni myśliwskiej należy rozpocząć w ogóle koleżeńską przestrogą wobec niebezpieczeństwa, jakiem grożą rozmaite fantazyjne czyli zbytkowe wyroby rusznikarskie dawniejszych i nowszych czasów. Do takich wyrobów zaliczamy przedewszystkiem owe dość rzadkie dziś strzelby perkusyjne o dwóch wystrzałach z jednej lufy. Konstrukcya ich różni się o tyle od zwykłych dubeltówek kapslowych, iż w nich dwa zamki służą jednej lufie, której Kamerśruba w ten sposób urządzona, że ma z boku po prawej stronie zagłębienia w grubości lufy przewiercony drobny przewód zapałowy, kończący się powyżej kuli pierwszego naboju. Kula ta okrągła nakrywa i zatyka szczelnie pierwszy nabój prochu, który wymaga koniecznie okrągłej, szczelnie przylegającej kuli, tudzież ściśle zastosowanej miarki prochu. Dla drugiego naboju są to rzeczy obojętne, może być i śrót. Że wyrób takiej broni wymagał drobiazgowej ścisłości w wykonaniu, łatwo zrozumieć można z powyższego opisu, to też najdrobniejsza, nieprzewidziana niedokładność wywoływała niemiłe następstwa jak: zatrzymanie strzału, częściowe lub zupełne wypalenie obu nabojów, a nawet możliwe pęknięcie nie dosyć grubej lufy.

Tu też należy nadmienić o dubeltówkach kapslowych o jednym zamku i o kurku, służącym obu lufom, spojonym pionowo jedna nad drugą — t. j. o tak zwanych „bokach“, niemniej też o dubeltówkach podobnej konstrukcyi, skręcanych po pierwszym wystrzale.

Nazwę broni zbytkowej damy również wszystkim tym rozmaitym strzelbom, które nie służą do zwyczajnego użytku, a których konstrukcya zasadniczo jest odmienna jak: strzelbom harpunowym na wieloryby i t. p.

Zwykła nawet strzelba, sztuciec lub pistolet stają się bronią zbytkową, gdy są przeciążone grawirowaniem, wysadza-

niem kosztownem lub rzeźbą zbyt ozdobną na wszystkich owych częściach, równie też broń ozdobiona w stylu orientalnym. Że taki zbytek u broni często czyni ujmę istotnej jej wartości, najlepszy dowód na tych prześlicznych czerkieskach i janczarkach tureckich, które pod względem celności i staranności w wykończeniu z bronią naszą dawniejszą *(Lazarino, Kuchenreuter)* i nowszą mierzyć się nie mogą. W dalszym toku naszej pracy wykażemy rozmaite błędy, nawet kardynalne w lufach dziwirowanych kosztowniejszych, które błędy ozdobami wyszukanemi i wykwintną powierzchownością broni pokrywane bywają.

Nie można następnie pominąć strzelb o czterech strzałach; strzelb rewolwerowych z bębenkiem; dubeltówki o dwóch strzałach w każdej lufie, z zamkami o pojedyńczych kurkach, działających poczwórnie za pomocą excentra; sztućców i pistoletów bolcowych o ścieśnionem powietrzu za pomocą silnej sprężyny, wreszcie wiatrówek. Broń ta uległa zasłużonej banicyi w życiu prywatnem i publicznem nie tyle przez wzgląd na to, iż ułatwiała ona skrytobójstwa, ile z powodu niebezpieczeństwa, jakiem zagrażała niedoświadczonym amatorom broni. Wprawdzie u tej broni miały flasze miedziane lub żelazne wybite piętna z cyfrą możliwych pchnięć pompy (tak zwanych sztosów), a napompywaniem zajmowali się zwykle rusznikarze, których warstaty były zaopatrzone we właściwe korby i transmissye tłoków przez sufit na strych do kociołków napełnionych wodą, w których zanurzoną flaszę nabijano z dołu; mimo tego jednak często wydarzały się nieszczęśliwe wypadki, a w skutek nich kalectwa, co też poświadczyć może żyjący, znany i ceniony w kraju, a jeszcze bardziej za granicą, weteran rusznikarzów naszych Tadeusz Wiszniowiecki. Przy odkręcaniu pompy pękała czasem flasza i urywała palce, a wiatrówka po kilku nawet strzałach, wniesiona z mrozu do ciepłego pokoju, pękała czasem przy strzale następnym, zresztą musiały kule mieścić się w lufie wolno, w przeciwnym bowiem razie strzał zawodził.

Do owej broni zbytkowej należą także kordelasy i noże myśliwskie w połączeniu z pistoletami, również pistolety kieszonkowe najrozmaitszej konstrukcyi ze sztyletami lub bez tychże, dalej rewolwery, które tak jak broń odtylcowa są wynalazkiem XVI stulecia, i tylko z powodu nieudoskonalenia przez tak długi czas były zapomniane. Okazem takiej broni są obecnie owe miniaturowe kapslami nabijane pistoleciki, prawdziwe cacka, wyrobu p. Tabaczkowskiego, noszone jako dewizki przy zegarkach.

Następnie policzyć do rzędu owej zbytkowej broni należy broń starożytną, dziś tylko wartość muzealną mającą, wreszcie sztućczyki i pistolety kapslowe Floberta.

Owoż cały szereg broni zbytkowej. Śród niej, w liczbie tych utworów wybujałej fantazyi rusznikarskiej i rozuzdanego przemysłu ludzkiego, zajmuje obecnie pierwszorzędne miejsce pistolet kapslowy dzisiejszej konstrukcyi Floberta. Również jak broń odtylcowa przeszedł on całą skalę różnorodnych przeistoczeń i ulepszeń, nim się stał ulubieńcem dzisiejszej drużyny rycerskiej i miłośników broni. Nazwa broni salonowej, jaką mu nadano, odnosi się do wzięcia, którego doznał nawet od piękniejszej połowy rodu ludzkiego. Kształtem pełnym wdzięku i elegancyi, celnością strzału, słabym odgłosem, łatwością nabijania i użycia, otworzył on sobie wstęp do buduarów wyższej sfery społecznej. Dobroć jego zawisła od starannego wykończenia, szczególnie zamku, składowe części tegoż muszą być wyrobione z najlepszego materyału, należycie zahartowane, spust łańcuszkowy, sprężyna silna. Pomijając historyczny wywód udoskonalenia tej broni, uważamy za obowiązek dołączyć kilka przestróg, odnoszących się do sposobu użycia jej. Bawidełka te jako broń salonowa, już tem samem odejmują wszelką ostrożność i obawę, w istocie zaś wymagają one nie wiele mniejszej przezorności, jak zwykłe pistolety tarczowe. Kapslami 6 milim. można z nich zabić na 30 do 40 kroków, a 9 milim. nawet na 150 kroków. Możnaż z taką bronią w ręku zapominać o potrzebnej ostrożności zwłaszcza w miejscach, gdzie się zwykle takie ćwiczenia strzelnicze odbywają t. j. na kurytarzach lub w salonach, w których niespodziewanie mogą przechodzić ludzie? Niejeden smutny wypadek moglibyśmy wymienić spowodowany taką nieostrożnością. Dodać też należy, że dawniejsza konstrukcya sztućca czy pistoletu systemu Floberta, urządzonych do kapsli 9 milim., narazić może nawet strzelającego na niebezpieczeństwo, siła bowiem naprężenia gazów przeważa często przy zanieczyszczeniu tej broni siłę sprężyny, otwiera kurek, i wstecz wyrzuca miedzianą blaszkę naboju z niemałem niebezpieczeństwem dla strzelającego. Wreszcie nadmienimy, iż wielce groźnem jest odbicie kulek, wychodzących z tej broni, od nieodpowiedniej tarczy. W celu uniknienia tego niebezpieczeństwa nie można strzelać do przedmiotów okrągłych, kanciastych, również do drzewa twardego np. dębowego, orzechowego i t. p. Nawet miękkie a sękate drzewo nie nadaje się na tarczę strzałową, jedynie odpowiedniemi do tego celu są płyty żelazne lub blaszane, na których kulka spłaszcza się jak papierek, i bezwładnie spada. Wszystkie inne tarcze narażają na rikoszety jeżeli nie niebezpieczne, to przynajmniej nie miłe. Zbyteczna już może ostatecznie rada częstego przewietrzania pokojów, w których się strzela kapslami.

W dalszej pogadance o broni myśliwskiej przywiedziemy na wstępie zdanie o niej p. H. Mangeot, nadwornego rusznikarza dworu Belgijskiego, członka narodowej akademii Brukselskiej.

KORESPONDENCYE.

Z lwowskiego Wysokiego zamku. — Z zdziwieniem ujrzy czytelnik czasopisma łowiecko-przyrodniczego korespondencyę niejako z miejskiego bruku. Istotnie wieść to, ile mi się zdaje, pożądana dla myśliwych, nawet dla tak zwanych niedzielnych. Niewiernych proszę z sobą na szczyt lwowskiego Wysokiego zamku, a mianowicie na północny jego stok, które to miejsce jest dla mnie jakoby obserwatoryum, dawna bowiem przypowieść mówi, że gdy stary woźnica już jeździć nie może, to przynajmniej bicze kręci, więc też i ja, kiedy losy tak zrządziły, że muszę wbrew woli wegetować na bruku miejskim, na którym mam minę spieszonego kawalerzysty, to przynajmniej pocieszam się często widokiem tyle miłej mi przyrody, wędzonej w dymie i wyziewach miejskich. — Spojrzyj czytelniku wraz ze mną na te obszerne, kilkumilowe błonia i

łąki, których środkiem wije się jak wstęga, zdala wdzięczniej wyglądająca, Pełtew. Błonia te okolone wzgórzami, przylegające pod Zniesieniem i Krzywczycami do znaczniejszych gór, odnogi Karpat, są ściekiem a raczej zbiornikiem wód całej tej okolicy. Im więcej było w zimie śniegu, tem szerzej spokojna Pełtew, jakoby Nil egipski rozlewa swe wody, a wylew ten błogosławionym jest dla wsi: Zniesienia, Krzywczyc, Laszek, Srok, Kamienopola, Prus, Pikułowic, Barszczowic, w części dla Biłki królewskiej i szlacheckiej, aż ku Pełtwi, do ujścia jej w fale Bugu. Wylew ów Pełtwi, a raczej muł naniesiony, użyźnia łąki tych wsi, jak może żadnej innej polskiej rzeki. Niewierzący może się przekonać patrząc, jak w pierwszej połowie Maja już tam trawy dosięgają olbrzymiego wzrostu, przewyższając inne pożywnością swoją.

W drugiej połowie Marca, gdy wedle staropolskiej przypowieści „z dniem św. Grzegorza rzeki, a raczej śniegi popłynęły do morza“, zalewa Pełtew wspólnie z towarzyszką swą, skromną Malechówką wszystkie te błonia tak, iż wyglądają one jak jedno olbrzymie jezioro. Gdzie okiem zasięgniesz, widzisz lśniące zwierciadło wody, czyste i otwarte, gdzieniegdzie tylko sterczy grupa wierzb lub wikliny. Przed laty było inaczej, widok był bardziej urozmaicony, bo niby wyspy rysowały się w dali olbrzymie trzciny i rogoże nie istniejących już dziś stawów w Laszkach, Kamienopolu, razem blisko milową przestrzeń zajmujących. — Na tem dzisiejszem jeziorze chwilowem czysto jak na dłoni, ale nie pusto, skoro bowiem skowronek obwieści hasło skrzydlatym wędrowcom za morze z konieczności, nie dla próżnej manii podróżowania, pierwsze pojawiają się czajki, swem wesołem *kihi-tem* i szwędaniem się zwiastując wiosnę całej okolicy, a szczególnie śniegiem jeszcze obielonym górom podlwowskim. Wnet za czajkami nadlatują kaczki — a tak jak w jesieni odlatują, tak też na wiosnę pojawiają się w nocy, więc nie dostrzeżone i nie spodziewane. A ile ich tam się zjawia? aby starego myśliwego nie posądzono o zamiar pływania, nie powiem miliony, lecz krocie. „Kto nie wierzy, niech sam zmierzy“. Tu i owdzie czernią się zdala niby ostrowy i wysepki na wód przestrzeni — to stada kaczek, w każdem kilkaset sztuk, a ile tych stad, zliczyć trudno. — Plusk, gwar, krzyk a raczej kwak iście piekielny. Po chwili daje się słyszeć głos podobny do salwy ognia karabinowego, gdy cały batalion wypali — to jedno stado zerwało się, i skrzydłami uderzając przestrzeń wody wydało ten grzmot. Istna to salwa wiosenna, salwa budzenia się do życia spiącej przyrody. Na wodach szum i gwar, niemniej też nad nią, ruchliwi skrzydlacze szybują nieustannie, niżej piskliwe kuliki, górą wysoko niedostrzeżone przeciąga niekiedy stado stepowych kulonów, wysyłając donośny, urywany gwizd, to znowu klucz żórawi chórem nuci pieśń zmartwychwstania przyrody. Przepraszam za to zboczenie, wiem, iż obowiązkiem sprawozdawcy jest opisywać to, co widział, nie to co czuł — więc do rzeczy. Krocie kaczek przebywa na owych błoniach zalanych, a są one dla nich widocznie punktem zbornym. Nie długo się tam zatrzymują, gdy spadną wody, a raczej powrócą do zwykłych łożysk wymienionych dwóch rzek, poczynają stada rozlatywać się po okolicy i po całym kraju, by podzieliwszy się w pary szukać miejsc pożądanych do lęgu. Przez lato mała ich tylko liczba pozostaje na owych błoniach, ze szkodą bowiem dla łowiectwa, ale z korzyścią dla gospodarstwa rolnego, znikły stawy i słynne błota Laszeckie, Srokowskie i Kamienopolskie, gdzieniegdzie tylko pozostały małe miejsca moczarowate lub kałuże, na których nie wiele przemieszkuje i lęgnie się parek. Nawet krzyków i dubeltów, dawniej niezmiernie licznych, dziś tam już nader mało.

Wartoby korzystać z chwili tak rozległego wylewu wód, z chwili krótkiej przelotu i przebywania kaczek na owych błoniach. W jakiż sposób? Chyba stawianiem trzcinowych lub chrustowych bud, na wodzie bowiem czystej i otwartej niepodobna podejść tego ostrożnego zwłaszcza na wiosnę ptaka. Polowałem na tę skrzydlatą rzeszę po osuszeniu stawów i błot, po zniknieniu trzcin i rogoży — byłem wtedy młodym i zuchwałym, nie znającym zbyt ciężkich trudów i niebezpieczeństwa, więc chyba równy szaleniec odważy się dziś na podobny hazard jedynie dla dogodzenia namiętności myśliwskiej. Skoro się zjawiły kaczki, łowiłem je w dwojaki sposób, na strzał i na sidła, jeden i drugi sposób wymagał Adamowego kostiumu. Uwiesiwszy na szyi kilka gotowych nabojów, z dubeltówką na ramieniu, wstępowałem w wodę, siarczyście zimną, po której pływały nieraz kawałki lodu, i tak brnąc po pas, niekiedy płynąc, dostawałem się do brzegów Pełtwi, w miejsce gdzie rosły wierzby. Tam skrywszy się w dziuple, dzwoniąc zębami czekałem. Czasem, nie zawsze, udawało mi się doczekać podpływającego lub nadlatującego stada, wtedy stuk stuk spuściłem 6, 7 lub ośm kaczek, i czem prędzej pędziłem do lasku olszowego, gdzie pozostawiłem suknie, aby się w nich ogrzać. Drugi sposób był nieco wygodniejszym. Brałem trzech łokciową sosnową deskę, w brzegi jej powierzchni wbijałem w odstępach trzechcalowych gwoździe, do których przytwierdzałem sidła z końskiego włosienia z ośmiu włosów, dla nadania mu siły skręconego. Środek deski posypywałem ziarnem hreczki czyli gryki lub innem jakiem ziarnem, naprzód sparzywszy je wrzątkiem w celu zapobieżenia zrośnięciu lub skulczeniu ziarna, coby musiało nastąpić po kilkudniowym wciąganiu w siebie wody. Taką samołówkę puszczałem na wodę przytwierdziwszy ją na długim szpagacie do jakiego krzaka lub kołka wbitego w ziemię. Sposób ten łowienia kaczek okazał się najpraktyczniejszym na tak zimnej wodzie. Dwa razy co dzień odwidzałem ową deskę konno, uchylając się tem od zimnej kąpieli. Rezultat bywał różny, czasem dwie, często też więcej kaczek zadzierżgało się na oka sideł, a zawsze za szyję. Podpłynąwszy pod deskę, okrążywszy ją z ostrożności kilka razy, poczynały nie siadając na deskę dziobem sięgać po przynętę, a skutek był taki, iż niemal każda dostawała się w matnię. W nieco podobny sposób łowiłem też bekasy i kurki wodne, lecz o tem pomówimy w innej porze. — Nadmienić jeszcze winienem, iż wylew Pełtwi i Malechówki nie tylko łowiectwu przynosi korzyści, a łowcom przyjemności lubo z niemałym trudem połączone, ale także rybactwu, w tym bowiem czasie ryby w większej lub mniejszej ilości swoim zwyczajem płynąc pod wodę na tarło, przypływają tam z Bugu, wyłącznie dwa ich gatunki: maryny i jazie. Wtedy kto żyw w wymienionych wyżej wsiach, wychodzi na połów. Łowią ryby na włoki, saki, więcierze, lub też przebijają ościami. W roku 1861 przybyła tak wielka ilość ryb, że ja sam przez czas ich krótkiego w tych wodach pobytu, w przeciągu sześciu czy ośmiu dni złowiłem ich włokiem prawie dwa korce. Włościanie też mnóstwo ich nałowili. Obadwa te gatunki ryb nie należą do najsmakowitszych, szczególnie jazie, pełno w nich ości, mięso postne, kotlety z niego tylko wyborne. Próbowałem strzelać ryby, napudłowałem się do syta, zanim doszedłem do sposobu brania na cel płynącej ryby. Mierzyłem w grzbiet, ale woda przeniknięta światłem wytwarza optyczne złudzenie, fałszywy cień przedmiotu, więc też chybiałem, zresztą woda osłabia siłę

strzału, w grzbiet ostry, kanciasty trudno trafić, a co najwa żniejsza, ryba szybkim ruchem uchyla się od pocisku. Mierzyłem w bok na kilka cali od ryby — strzał taki rzadko był chybnym.

W tym roku śniegu mało, więc też i wylewy wód około Lwowa mniejsze, nie zabraknie wszakże kaczek, kto chce o prawdziwości moich podań się przekonać, niech korzystając z danych wskazówek dalej rzecz tę bada. *X.*

KRONIKA.

Międzynarodowa praca rybacka nad Wisłą. — Rzeki Wisła, Styr, Dniestr i Prut przepływając kraje do różnych państw należące, wymagają pod względem rybactwa i ustawodawstwa, działania międzynarodowego, jak się to ma rzecz np. z Renem lub Dunajem, a celem tego działania ku pożytkowi wspólnemu, jest pomnożenie i przesiedlanie cennych ryb wędrownych, nadewszystko łososia.

Co do Wisły, to do niedawna Towarzystwo rybackie w Berlinie subwencyonowane przez rząd pruski kwotą 20.000 marek, zarybiało łososiem jedynie w Prusiech zachodnich dopływy dolnej Wisły, a z tego korzystają tylko miejscowi mieszkańcy.

Aby zaś wszyscy nadwiślanie pożytkowali z pomnożenia w Wiśle łososia, do tego potrzeba działać głównie w jej biegu górnym w Galicyi i na Szlązku, gdzie się znajdują odwieczne tarliska łososia. Łosoś ciągnie z Baltyku Wisłą do swych tarlisk w źródłowiskach i górskich dopływach Wisły, w tych więc należy rozpuszczać jego narybek, bo w nich wyżywia się i wzrasta, nim się do morza uda i ztąd znowu wraca.

Taką myślą kierowany Dr. Nowicki wychował przed dwowa laty w Krakowie młode łososie [1]), aby niemi zarybić górną Wisłę, a Towarzystwo rybackie w Berlinie ofiarowało mu jako swemu członkowi na ten cel ikrę. Łososie rozpuszczono [2]) w imię Boże dnia 20 Kwietnia 1879 r. w Wiśle u stóp krakowskiego Wawelu, przy współ-udziale dostojników miasta Krakowa i licznej publiczności, tudzież arcyksiężnej Izabeli, która pierwsza kilka łososiąt własnoręcznie powierzyła nurtom Wisły.

Akt rybacki, który się wtedy odbył, pozostanie pamiętnym w dziejach rybactwa wiślanego, albowiem nietylko był zaczątkiem rybackiego ruchu międzynarodowego ku wspólnemu dobru wszystkich nadwiślan, lecz także nadał rozgłos u nas sprawie rybackiej i tem przyczynił się do utworzenia się w Krakowie Towarzystwa rybackiego [3]), które uzyskało od sejmu subwencyę, i w krótkim czasie świetnie się rozwinęło, rozciągając swoją czynność na kraj cały, bo od Soły i Skawy aż po Prut i Czeremosz [4]).

W dalszym ciągu tej sprawy Towarzystwo rybackie w Krakowie proponowało Towarzystwu berlińskiemu wspólne działanie w zarybieniu dorzecza Wisły łososiem [5]) i prosiło je zarazem o udzielenie na ten cel ikry łososiej. Towarzystwo berlińskie przystało chętnie na działanie wspólnemi siłami i obdarza też hojnie od dwu lat Towarzystwo krakowskie ikrą łososia baltyckiego i kalifornijskiego, troci, sieji i inną, z której tegoż oddziały i prywatne zakłady rybne z trudem i kosztem narybek wychowują i rozpuszczają. Bliższe o tem szczegóły podaje sprawozdanie Towarzystwa rybackiego.

Do sojuszu obu Towarzystw przyłączyła się zeszłego roku dyrekcya kameralna dóbr arcyksięcia Albrechta w Cieszynie, przystępując na członka do Tow. ryb. w Krakowie. Na tem zyskała wiele wspólna praca zarybiania Wisły łososiem, albowiem do państwa Cieszyńskiego należą źródłowiska Wisły i łosoś zdąża Wisłą do nich na tarło, podobnie jak do Soły, Skawy i Dunajca, następnie dyrekcya rozporządza kilkoma zakładami rybnemi i może w nich wychowywać wielką mnogość łososiąt do rozpuszczania w Wiśle, a tak podtrzymać sprawę zarybiania tej rzeki i na ten wypadek, gdyby Tow. rybackie tego uczynić nie mogło. Obecnie dyrekcya cieszyńska przyjęła na wychów 50.000 ikry łososia bałtyckiego i 10.000 kalifornijskiego, zaś dyrekcya w Żywcu 15.000 łososia bałtyckiego, a tej ikry udzieliło Tow. ryb. w Berlinie.

Następnie Tow. rybackie w Berlinie zaopatrzyło Tow. węgierskie w ikrę łososia dla Popradu i zespoliło tem jego działanie z zarybianiem Wisły łososiem w Galicyi.

Wreszcie w Październiku z. r. Tow. ryb. w Berlinie przedstawiło ministrowi dóbr księciu Lieven w Petersburgu sprawę podjętego już zarybiania Wisły łososiami, prosiło zarazem, aby carski rząd moskiewski ze względu na średni bieg Wisły zechciał także przystąpić do współpracownictwa i przyczynił się subwencyą do częściowego pokrycia kosztów ikry łososiowej przeznaczonej dla Wisły. Książe Lieven okazał się chętnym zarybianiu Wisły łososiem, wyjednał od cesarza pozwolenie wspólnego w tej mierze działania Moskwy z krajami innemi i udzielił żądanej subwencyi w kwocie 300 marek. Jego dotycząca odpowiedź jest ogłoszona w drugim cyrkularzu Tow. ryb. w Berlinie z dnia 25 Lutego b. r. na str. 56 w artykule pod tytułem: „Hebung der Lachszucht in der Weichsel".

Tak tedy zarybianie Wisły łososiem stało się faktem działania rybackiego połączonemi siłami. Prusy ofiarują Galicyi ikrę, Moskwa ponosi część kosztów tej ikry, a Galicya i Szlązk wychowują z niej narybek i rozpuszczają go w swych wodach ku wspólnemu pożytkowi mieszkańców nad Wisłą od jej źródłowisk aż do ujścia do Bałtyku, tudzież ludności osiadłej nad nadwiślanemi dopływami. Aby łosoś mógł dotrzeć do swych tarlisk w źródłowiskach Wisły, poleciła dyrekcya kameralna w Cieszynie zbudować na tamtejszym jazie odpowiednie schodki rybie (Fischsteg); podobnie powinien on mieć wolną drogę do swych tarlisk w dopływach Wisły, jak np. u nas w Sole, Skawie i Dunajcu.

Wszakże z zarybianiem łączy się także ochrona łososia we Wiśle, można się więc spodziewać, że rządy Austryi, Niemiec i Moskwy zawrą układ międzynarodowy co do łososia i w ogóle rybołowstwa na Wiśle i innych rzekach granicznych lub płynących przez różne kraje. Taki układ zapowiedział też rząd austryacki w swym projekcie ustawy rybackiej.

Współpracownictwo rybackie nad Wisłą powinno się rozciągnąć także na dorzecza Dniestru i Prutu. Początek w tej mierze Galicya już zrobiła, bo Towarzystwo rybackie od dwu lat zarybia te wody łososiem bałtyckim i kalifornijskim [6]) oraz i węgorzem [7]), aby im przysporzyć te nowe gatunki cennych ryb wędrownych. Wobec tego można tuszyć, że i Moskwa użyczy swej opieki rybołowstwu nad Dniestrem i Prutem i życzymy, aby to jak najprędzej nastąpiło, zarazem aby też Rumunia do współpracownictwa przystąpiła.

Sprawa podniesiona przez dzienniki węgierskie o zamknięciu Dunajca kratą, przez którą łososiom przepływ do rzeki Popradu ma być zatamowany, o czem w Nrze 42 „Czasu" jest wzmianka, zmusza mię do przedstawienia jej w tem świetle, w jakiem się w rzeczywistości znajduje, a przez co okaże się, iż zarzuty przez węgierskie Towarzystwo rybackie podniesione, polegają co najmniej na błędnej informacyi. Będąc bezpośrednim sąsiadem na rzece Popradzie z Węgrami i znając okoliczne wody, wiem, iż ani na Dunajcu, ani na Popradzie galicyjskim żadne kraty, lub inne tego rodzaju przeszkody, któreby swobodny przepływ rybom tamowały, nie istnieją; owszem przy ostatniem wydzierżawieniu prawa rybołowstwa na rzece Popradzie zastrzeżono w warunkach kontraktu, iż dzierżawcy wolno łowić ryby tylko z pomocą sieci, której pojedyncze oka co najmniej 2 kw. cmt. mają obejmować, a nadto zawarowano kontraktem, iż wszelkie łowienie ryb z pomocą dynamitu, trutki, samołówek lub stawiania zapór tamujących swobodny przepływ rybom jest zabronionem. W skutek tych ograniczeń osiągnięto tylko jednątrzecią część pierwotnego czynszu, lecz poniesiono tę ofiarę chętnie dla dobra ogółu. Powtarzam przeto, iż na rzece Popradzie po stronie galicyjskiej nie ma i nie wolno stawiać żadnych zapór ani przeszkód tamujących swobodny przepływ rybom, a tem mniej krat! — Że zaś i na rzece Dunajcu także żadnych krat nie ma, dowodzi ta okoliczność, iż w ubiegłej jesieni podczas tarła dość znaczna ilość łososia w rzece Popradzie była widzianą, mówię widzianą na stronie galicyjskiej, które naturalnie ciągnęły w górę Popradem do Węgier. Lecz zaledwo przekroczyły granicę galicyjską

---

[1]) Nowicki: Sposób wychowu narybku łososiowego. Lwów 1879. [2]) „Czas" Nr. 92 z r. 1879. — [3]) „Czas" Nr. 195 z r. 1879. — [4]) Sprawozdanie Tow. ryb. 1880. — [5]) „Czas" Nr. 209 z r. 1879.

[6]) „Dzien. Pols." Nr. 68 z roku 1879; „Gaz. Lwos." Nr. 102 z r. 1879. — [7]) „Czas" Nr. 218 z r. 1879; „Mittheilungen übar Fischzucht" Nr. 20 z r. 1879; „Rolnik" Nr. 8 z r. 1880; „Gazeta Narod." Nr. 255 z r. 1880.

może w odległości pół kilometra, napotkały na zaporę, którą jest jaz wysoki, zbudowany na całej szerokości Popradu przez grzaniczące państwo Paloczy dla sprowadzenia wody z Popradu do walcowni żelaza i tartaków, jakie przy granicy galicyjskiej na stronie węgierskiej w Kurczynie istnieją. Otóż to jest zapewne ta krata, o której dzienniki węgierskie głoszą, a przez którą łososie dalej w głąb Węgier przechodzić nie mogą i są zmuszone swoją wędrówkę ku źródłom Popradu przy pomienionym jazie zakończyć, ale zakończyć razem swoje życie. gdyż robotnicy zatrudnieni przy walcowni i traczu zwykle oczekują pory tarła, a korzystając z pogłębienia, jakie się w okolicy wspomnionego jazu znajduje, przygotowują wszelkiego rodzaju samołówki i z ich pomocą niemal każdego łososia chwytają; a co im się nie uda chwycić żywcem, to wybiorą z pomocą dynamitu nieżywe. Tym sposobem rok rocznie przy wspomnionym jazie kilkadziesiąt łososiów pada ofiarą. Dla tego więc może słuszne są skargi węgierskiego Towarzystwa rybackiego, iż u nich w ostatnich czasach łosoś się nie pokazuje; lecz niesłuszne zarzuty, jakoby galicyjskie Towarzystwo rybackie było winne, gdyż winą tego jest jaz zbudowany na stronie węgierskiej. Należałoby zatem, aby węgierskie Towarzystwo rybackie postarało się jeżeli nie o usunięcie owego jazu, to przynajmniej o to, aby podczas tarła ryb przy owym jazie nie tępiono, gdyż dopóki to nie nastąpi, to nie tylko Węgry, ale i Galicya o podniesieniu stanu ryb w rzece Popradzie myśleć nie może, zważywszy, iż rzeka Poprad począwszy od Piwniczny aż do Leluchowa stanowi granicę krajową; zatem chociażbyśmy w Galicyi jednej ryby w roku na prawym brzegu nie chwycili, to wytępią takowe nasi sąsiedzi węgierscy na lewym brzegu rzeki, ponieważ środek rzeki Popradu stanowi granicę krajową pomiędzy Galicyą a Węgrami, przez co ustawy przedlitawskie tylko na prawej połowie rzeki są obowiązujące.

Antoni Goralczyk, c. k. zarządca dóbr w Muszynie.

W przypuszczeniu, że wiadomość o skutkach od dwóch lat zaprowadzonego hodowania zwierzyny w krajowych dobrach rządowych może być dla szanownej Redakcyi pożądaną, mam zaszczyt przesłać wykaz zwierzyny w latach 1879 i 1880 ubitej. Rezultat w stosunku do wielkiej płaszczyzny lasów skromny, przytaczam więc dla wyjaśnienia, że główną przyczyną jest zupełny zakaz strzelania zwierzyny użytecznej w wielu miejscach, pokąd się stan takowej znacznie nie polepszy. Głównie dążymy na razie do wytępienia zwierza drapieżnego i szkodliwego, z czego nie tylko dla polowania w dobrach rządowych ale też dla sąsiadów korzyści spodziewać się należy.

Wykaz zwierzyny ubitej w obrębie dóbr państwowych w Galicyi.

	Zwierzyna drapieżna i szkodl.										Zwierzyna użyteczna								
	niedźwied.	wilki	rysie	lisy	żbiki	kuny	wydry	dziki	sępy i orły	Razem	rogacze	zające	głuszce	cietrzewie	jarząbki	kuropatw.	słonki	kacz. i gęsi	Razem
W roku 1879	2	13	2	58	4	12	6	41	3	141	117	243	1	1	76	10	38	36	522
W roku 1880	.	7	7	99	.	4	6	61	3	187	173	262	4	5	94	1	21	13	573

NB. Wynik łowów w wydzierżawionych okręgach: Bolechów, Taniawa, Lisowice, Turza i Łopianka nie jest w niniejszych cyfrach zawarty. *Siegler de Eberswald.*

Lwów, 19 Marca.

Dla poparcia spraw łowiectwa w ogóle, a zapewnienia wpływu galicyjskiego Tow. łowieckiego na te sprawy w szczególe, wnoszę projekt zmiany Ustawy dotyczącej, na następującym wywodzie oparty:

Na mocy §. 27 Ustawy gminnej z r. 1866 służy gminom, względnie Radom powiatowym prawo wolnego zarządu majątkiem i dochodami gminnymi.

§. 30 (ustęp *b)* przyznaje tejże Radzie władzę stanowienia o sposobie użytkowania i zarządu majątkiem gminnym.

§. 70 wreszcie poleca naczelnikom gmin składanie rachunków Radzie powiatowej, a —

Starostwu służy w myśl §. 104 tejże ustawy tylko prawo nadzoru, aby gminy swego zakresu działania nie przekraczały.

Rozporządzenie ministeryalne z r. 1852 stanowi o prawie polowania: §. 1. Prawo polowania na gruntach gminnych nie może być inaczej użytkowane, jak tylko w drodze wydzierżawienia przez Władze powiatowe polityczne. §. 2. Wydzierżawienie odbywać się ma przez publiczne licytacye w obecności naczelników gmin. §. 10. Wyjątkowo może być dzierżawa polowania gminnego bez licytacyi przez Starostwa zatwierdzona.

Otóż na podstawie tych paragrafów wydzierżawiają c. k. Starostwa polowania gminne w drodze licytacyi.

Możemy w każdej chwili złożyć na to dowody, zresztą liczne skargi, głoszone w kolumnach „Łowca“ wykazują, że łowiectwo krajowe w obecnym składzie rzeczy nie najlepszych ma orędowników u Władz politycznych. Należałoby to złe usunąć w drodze ustawodawstwa krajowego i zformułować memoryał o wyjednanie w drodze właściwej wyjaśnienia dodatkowego czyli deklaratoryum, któreby wnikając w ducha Ustawy i zmieniając w powołanem rozporządzeniu ministeryalnem wyraz plityczną na autonomiczną, atrybucyę władzy z ducha Ustawy gminnej wypływającą, Radom powiatowym wyraźnie przyznało.

Sądzę, że zyskałyby na tem gminy, zyskałyby mianowicie szkoły, zyskałaby autonomija, niemniej też gal. Towarzystwo łowieckie, bo szerzeniem swych delegacyi szerzyłoby zarazem swój wpływ, i uzyskałoby poparcie swych interesów przez dwory w Radach powiatowych. *W.*

Gogolowo (W. Ks. Pozn.) 8 Kwietnia.

Pozwalam sobie przesłać wykaz ubitej zwierzyny w ciągu roku 1880 od d. 1 Lutego do 31 Stycznia w Gogolowie, pow. Kropskim W. Ks. Poznańskiego. Obszar opolowany wynosi 3000 morgów polskich czyli 1600 hektarów, z tych ornej roli 2630 m. p., zagajeń 130 m. p., łąk 230 m. p., ochronek z wierzby koszykarskiej, janowca, żarnowca, pietruszki i jarmużu 10 m. p. Ilość ubitych kuropatw jest stosunkowo małą, gdyż pomimo korzystnej na pozór wiosny, ledwo połowa przezimowanych par gnieździła się. Również zające nie dopisały w skutek nadzwyczaj mokrej jesieni, w skutek której wszędzie stała woda na polach tak, że wiele zajęcy powynosiło się w suchsze okolice. Oprócz tego z powodu braku mrozów nie można było zapolować z naganką prędzej, jak w końcu Stycznia, kiedy to Niemcy już byli wystrzelali do nogi brodzące w błocie zające, uszczuplając tem i mój zwierzostan. Ubiliśmy: kozłów 9, zajęcy 559, słonek 2, bażantów 16, kaczek 17, kuropatw 590, przepiórek 22, drozdów 3, dropia 1, czaplę 1, jastrzębi, głównie kuropatwników 23, srok i wron siwych 127. Wybrano i zniszczono 22 gniazd ptaków drapieżnych. Ubito: lisów starych 3, młodych wybrano 7, jaźwca 1, psów 13, kotów 4, łasicę 1, wiewiórek 23.

Wiktor hr. Czarneeki.

Poturzyca, 8 Marca.

Przy poszukiwaniu wilka, na ostatniem polowaniu postrzelonego, znalazłem troje sarn (2 koziołki, 1 koza), które zginęły na motylicę. Były to same roczniaki. Od czasu polowania objechaliśmy raz dwa wilki, zajęliśmy natychmiast miot, jakoż wyszły na gajowego i leśniczego, którzy do nich strzelali niefortunnie. Dziki pozłaziły się znowu do naszych lasów, w Sk. osobliwie chodzi ich poważna partya. Dziki te żerują na kartoflisku dworskiem, dobierają się też do kopców z kartoflami, dają się podchodzić na kilkanaście kroków tak, że dobry strzelec mógłby co wieczora na podjeździe zrobić dubletę. *Fabiański.*

Zahajpol, 16 Marca.

Włócząc się tego roku więcej jak kiedykolwiek, znalazłem się na polowaniu w Jarhorowie, własności p. St. Polowanie to w swoim rodzaju niezwykłe, bo tak jak gdzieindziej zając, tak tu z pod każdego niemal krzaka pomyka dzik, jeden, dwa, dziesięć, jak Bóg da i więcej. O takiej ilości dzików, jaka jest tego roku w Jarhorowie, nikt pojęcia nie ma. Sąsiad p. Ob. mający pozwolenie polowania, w ten sposób się urządził, że wyjeżdża prostemi sankami z jednym chłopcem do lasu, i z drogi strzela do żerujących dzików. Jarhorów leży w sąsiedztwie Kończak, nowo nabytej przezemnie wioski, otóż gdym był tam w przeszłym tygodniu, ubił p. O. w sobotę jednego dzika, w poniedziałek dużego odyńca, we wtorek warchlaka, we środę dwa warchlaki i tak dalej *in dulce infinitum.* Ja kaszlący, chrypiący, z zakrwawionem sercem patrzę tylko na to z rozpaczą. Ile tam tych dzików jest; tego nikt nie wie, może sto, może tysiąc, bo lasy ogromne, a granicą z lasami Manasterzyskimi. Śród tej hurmy dzików, jest stadko srokaczów takich, jakich gdzieindziej nie ma, wzrost równy z czarnymi, między nimi locha i odyniec bardzo grube sztuki, *ergo* nie mięszańce ze swojskiemi, maść śliczna. Jedną sztukę (lochę) sam widziałem w jesieni, ale nie wyszła mi na strzał. Znaczone są bardzo regularnie, na białem tle okrągłe łaty i łatki *chamois.* W jesieni była tylko locha, później pokazały się warchlaki, a w najno-

wszym czasie odyniec, który ma być bardzo duży. Dziki te elektryzują wszystkich okolicznych myśliwych, a to tem więcej, że do tej chwili szczęśliwie uchodziły od celnych strzałów. *M. J.*

Lwów, 21 Marca.

Pisząc rozprawę o broni myśliwskiej i walcząc z trudnościami mianowicie co do terminologii, widzę niezbędną potrzebę złożenia ankiety, którąby zajęła się ustaleniem wyrazownictwa polskiego dla składowych części i w ogóle dla broni. Mojem zadaniem będzie dać nazwy polskie z dołączeniem odnośnych nazw francuskich i niemieckich oraz z wyjaśnieniem, na jakiej podstawie te nazwy polskie opieram. Ankieta złożona z myśliwych i rusznikarzy niech ostatecznie decyduje w tej ważnej sprawie. Następnie ośmielam się przedłożyć rozwadze następujący wniosek: Składam w Redakcyi „Łowca" dwa okazy pękniętych łożysk, których w pracowniach rusznikarskich niemało się znajduje, radbym, iżby owe okazy były zarodem zbioru przyrządów i przyborów łowieckich. W zbiorze takim mogłyby być gromadzone obok grubych drzewców osad pierwotnego i następnego kroju także kawały szyn żelaznych w stopniowanem wyginaniu i wydłużaniu fabrycznem na lufy, kawałki dziwiru, praktyczne wzory zamków i tychże części składowych całkowitych i w próbnem przełomie drobnoziarnistej stali, dalej rożki, trąbki, chodaki, pęknięte lufy, jako *corpora delicti* złych konstrukcyi, nieoględności myśliwych lub wreszcie złego materyału, okazy wyrobów fabrycznych w zestawieniu z starannie wykończonymi wyrobami odręcznymi, słowem wszelkie przybory myśliwskie. Sądzę, iż zbiór taki powstaćby mógł przeważnie z datków dobrowolnych, a przyczyniłby się wielce do krzewienia dobra publicznego w sferze łowieckiej, dałby oparcie naszym rusznikarzom i odwodził od nabytków zagranicznych. Zresztą to tylko rzucona myśl, podjęcie jej, zastosowanie i wykonanie polecam rozwadze ogółu myśliwych naszych. *Ludwik Weeber.*

Sprostowanie. W liście członków Tow. łow., umieszczonej w poprzednim Numerze „Łowca", podano mylnie imię hr. Mycielskiego Józef zamiast Jan.

Krukienice, 29 Marca.

Dnia 12 Marca znaleziono w ogrodzie Krukienickim zmarzniętego zajączka, a w pobliżu nieżywą matkę. Kilka dni przedtem było u nas 14 stopni mrozu, więc zapewne z tego powodu zające poginęły. Marzec jest u nas dla tej zwierzyny zabójczym, giną też wtedy nie tylko młode ale i matki. Nieraz już spostrzegałem, gdy w ogóle mało było zajęcy, że na polowaniach padały przeważnie samcy, i tak raz zabito w Krukienicach 18 zajęcy, a z tych tylko dwie samice, co jest dowodem, iż śród mroźnego i śnieżnego Marca giną samice. — Żórawie i gęsi już tu widziano, ale słonek jeszcze nie ma. *Jan Ostrzechowski.*

Wyżeł „Diana" hr. Józefa Czarneckiego z Zaniemyśla otrzymał na Wystawie międzynarodowej w Gryfii (Greifswald) d. 13 Marca b. r. pierwszą nagrodę — srebrny medal. Wyżeł ten rasy czysto polskiej premijowany pomimo znacznej konkurencyi psów angielskich i niemieckich.

T. J., leśniczy.

Przesłano nam do ogłoszenia następne pismo: „Z dniem 15 Marca b. r. rozpoczęła swą czynność nowo założona „Stacya kontroli nasion" c. k. Towarzystwa rolniczego w Wiedniu pod przewodnictwem prof. Dra Liebenberga. Okazała się ona bardzo pożyteczną, jak to stwierdza liczne zgłaszanie się rolników i leśników. Na jesień r. b. zgłosiła się też nie mała liczba właścicieli dóbr i składów nasion w celu zawierania kontraktów.

Słonki ciągnęły i wabiły się w pobliżu Lwowa d. 29 Marca, a jedną ubito w okolicy Lwowa d. 25 Marca. W ogóle ciąg słonek w tym roku znacznie spóźniony z powodu zimna. Ustawa ochrania słonkę u nas od 20 Kwietnia, rozumiemy to dobrze, iż ona nie może robić wyjątków, praktyczniejszą jednak zdaje się nam być Ustawa łowiecka we Francyi, gdzie dozwala ona Władzy depertamentalnej ogłaszać względną porę ochrony dla zwierzyny. Są u nas okolice, w których z powodu klimatycznego 20 Kwietnia ciąg słonek zaledwo się rozpoczyna. *J.*

Ciekawy fakt zakomunikowano Towarzystwu rolniczemu francuskiemu i Towarzystwu aklimatyzacyi. Bardzo łatwą ma być rzeczą przewidzieć z góry dnie, w których wystąpią przymrozki majowe. Potrzeba tylko starannie notować dnie mgliste w Marcu. W odpowiednie dnie majowe będzie mróz biały, może o jeden dzień wcześniej lub później. Zdawałoby się na pozór, że obserwacya podobna jest urojeniem, jednakże cytują mnóstwo osób, a między niemi dwóch uczonych: pułkownika Lefèvre i Milleta, którzy stale zapisują szczególny ten objaw meteorologiczny, jeden od 44, drugi od 18 lat. Nigdy nie byli zawiedzionymi. Być może, że istnieje tu jakieś prawo naturalne, którego tajemnic nauka jeszcze nie wykryła. W każdym razie kwestya to bardzo poważnego znaczenia, szczególnie dla ogrodników. *Przyroda i przemysł.*

Kościelec, w Marcu.

W państwie Kościeleckiem, własności hr. Antoniego Wodzickiego, ubito w latach 1879 i 1880: zajęcy 168, cietrzewia 1, kuropatw 36, przepiórek 18, kaczek 7, ptactwa wodnego mniejszego 3. — Zwierząt drapieżnych: psów 26, kotów 7, łasic 2, wiewiórek 3, jastrzębi 4, krogulców 2, sów 3, srok 8, wron 25.

Od 1 Września 1880 oskarżono do sądu 9 kłusowników, i odebrano 1 pojedynkę.

Z powodu żywienia zwierzyny w zimie powiększył się zwierzostan. Położenie dóbr Kościelca jest pagórkowate, pokarm więc suchy i zdrowy, więc zające nie cierpiały na motylicę. Jest ich tu obecnie wiele, można się więc w jesieni dobrych polowań spodziewać. Mnóstwo mamy kuropatw, dla których jakoteż dla bażantów zboże się w zimie rozwoziło.

Broniewski, Jeśniczy.

W miejscu kąpielowem Cleve (Prusy reńskie) urządzoną będzie w miesiącach Lipcu, Sierpniu i Wrześniu b. r. Wystawa łowiecka i ogrodnicza, połączona z wystawą psów, z urządzonemi łowami, wyścigami konnemi i psiemi, z wycieczkami wspólnemi do pobliskich lasów królewskich, bogatych w płową zwierzynę. Komitet wystawowy uprasza nas o podanie mu listy członków naszych, których pragnie szczegółowo o celu i urządzeniu tej wystawy zawiadomić. Usiłowania te mamy obowiązek poprzeć skutecznie.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.